

Gene Wolfe

# Siedem amerykańskich nocy

*(Seven American Nights)*

przełożył Arkadiusz Nakonecznik

Gene Wolfe, idący własną drogą znakomity pisarz amerykański, jest już znany naszym stałym Czytelnikom z wielu opowiadań, a także ze swojej najsłynniejszej powieści „Cień kata”, którą drukowaliśmy w „Fantastyce” nr 1-5/90. Mikropowieść „Siedem amerykańskich nocy” to jeden z charakterystycznych utworów ukazujących Stany Zjednoczone po upadku. Jest w tym jakiś masochizm obywateli najpotężniejszego państwa świata, jest superkrytycyzm części inteligencji amerykańskiej w stosunku do własnego kraju, często wiążący się z bezkrytycznym uwielbieniem dla kolejnych gwiazd Trzeciego Świata (Mao Tse-tunga, Castro, Ortegi). Jest wreszcie płynące z istoty science fiction przekonanie, że zmiany są nieuchronne, nikt więc nie może być „numerem pierwszym” bez końca.

Gene Wolfe zrobił oczywiście coś bardzo własnego, zdominowanego przez nastrój obcości i zagrożenia. Porównajmy to z potraktowaniem podobnego tematu przez innego mistrza, Normana Spinrada, w jego znakomitym opowiadaniu „Coś pięknego” z tomu „Rakietowe szlaki 2”.

LJ.

*Wielce szanowna i czcigodna Pani!*

*Jak już uprzednio Pani donosiłem, wydaje mi się wielce prawdopodobne, że syn Pani Nadan {oby Allah zachował go w swojej opiece!}, opuścił starą stolicę udał się podporządkowując się swojej własnej lub też czyjejś innej woli - na pomoc, w rejon Zatoki Delaware. Moje przypuszczenie zostało obecnie potwierdzone odnalezieniem na tamtych terenach notesu, który niniejszym załączam. Jak Pani widzi, nie był on wykonany w Ameryce i chociaż zawiera zapiski z jednego tylko tygodnia, to wiele spośród znajdujących się w nim informacji pozwala nam żywić nowe nadzieje.*

*Sporządziłem fotokopie jego zawartości, która może dopomóc mi w moich poszukiwaniach, ale zdaje sobie sprawę z możliwości, iż Ty, Pani, dzięki dokładnej znajomości młodego człowieka stanowiącego obiekt naszych poszukiwań, możesz odnaleźć wskazówki, które umknęły mojej uwadze. Gdyby tak się stało, proszę Cię o jak najszybsze powiadomienie mnie o tym.*

*Aczkolwiek waham się, czy wspominać o tym w kontekście tak zachęcającego odkrycia, to muszę jednak nadmienić, że nie otrzymałem jeszcze kolejnej wpłaty. Przypuszczam, że spóźnienie to jest rezultatem opieszale działającej poczty, niemniej jednak czuje się zmuszony Panią ostrzec, że będę musiał zaprzestać poszukiwań, o ile przed nadejściem zimy nie otrzymam środków wystarczających na pokrycie ponoszonych przeze mnie wydatków.*

*Łączę wyrazy najwyższego szacunku  
Hassan Kerbelgi*

Nareszcie jestem! Po dwunastu morderczych dniach na pokładzie „Księżniczki Fatimy” - dwunastu dniach zimna, nudy, złego jedzenia i wibracji silników - radość bycia na lądzie dorównuje chyba uldze skazańca, którego list szacha wyciąga w ostatniej chwili spod spadającego ostrza śmierci. Ameryka! Ameryka! Koniec z nudnymi dniami! Mówi się, że każdy, kto tu przybywa, albo cię kocha, albo nienawidzi-na Allacha, jak cię Kocham, Ameryko!

Rozpocząwszy wreszcie te relacje stwierdziłem, że nie wiem, od czego właściwie mam ją rozpocząć. Przed opuszczeniem domu czytałem różne zapiski z podróży, więc kiedy ujrzałem cię, o Księgo, leżącą w całej swej krasie na bazarowym straganie, pomyślałem sobie, dlaczego mnie również nie miałyby spotkać rozmaite przygody i czemu nie miałbym napisać książki jak Osman Aga? Przecież tak niewielu podróżników dociera do tego smutnego kraju, a ci, którzy tu przybywają trafiają zwykle na północną część wybrzeża.

I to właśnie jest wskazówka, której szukałem: od czego zacząć. Dla mnie Ameryka zaczęła się od kolorowej wody. Kiedy wczoraj rano wyszedłem na pokład zauważyłem, że ocean zmienił swoją barwę z zielonej na żółtą. Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ani z moich lektur, ani od wuja Mirzy, który był tutaj trzydzieści lat temu. Obawiam się, że zachowywałem się jak ostatni głupiec biegając po pokładzie, paplając bez opamiętania i wyglądając co chwila za burtę, aby upewnić się, że intensywna, musztardowa barwa ciągle tam jest i że nie zniknęła, jak to się dzieje z rzeczami widzianymi w snach, które rozpływają się w nicłość właśnie w chwili, kiedy chcemy je komuś pokazać. Steward powiedział mi, że nie jest to dla niego nic nowego, zaś Golam Gassem, handlarz zbożem, którego unikałem aż do tej chwili przez cały czas podróży, odparł tylko: „Tak, tak” i odwrócił się ode mnie w sposób świadczący o tym, że on ze swojej strony również mnie unikał i że trzeba by cudu o wiele większego od złotej wody, żeby zmienić jego uczucia.

Właśnie wtedy na pokładzie pojawił się jeden z nielicznych rodowitych Amerykanów podróżujących pierwszą klasą: Mister (tak się tutaj mówi) Tallman, mąż uroczej Madam Tallman, zasługującej ze wszech miar na kogoś rzeczywiście mojego wzrostu\*. Nie wiem, czy jej mąż wybrał to nazwisko w celu samośmieszenia, czy też kierując się nadzieją, że może w ten sposób wymaże z pamięci innych tę swoją niedoskonałość. Może zresztą odziedziczył je po swoim ojcu, stając się kolejnym z niezliczonych przykładów ironii igrającego z ludźmi losu. (Najwyraźniej coś było nie w porządku z jego plecami). Jakby nie dość było przedstawienia, które już z siebie urządziłem, złapałem Mr. Tallmana za rękaw i kazałem mu wyrzeć za burtę i podziwiać żółtą barwę oceanu. Mr. Tallman zbladł jak płótno i odwrócił się ode mnie, sprawiając wrażenie kogoś, kto z całą pewnością uderzyłby mnie, gdyby tylko miał na to odwagę. Było to chyba dosyć zabawne - słyszałem później chichoty opowiadających sobie to zdarzenie pasażerów - ale nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wcześniej widział na czyjejś twarzy tyle nienawiści. Właśnie wtedy pojawił się zażywający spaceru kapitan, a ja, zбитy nieco z tropu, ale jeszcze nie do końca, oznajmiłem mu po raz ostatni tego dnia, że woda zrobiła się zupełnie żółta.

- Wiem - odparł kapitan i wskazał mi ruchem głowy nieszczęsnego Mr. Tallmana - To jego kraj wykrwawia się na śmierć.

\*\*\*

Jest już wieczór i widzę, że przerwałem poprzednim razem pisanie zanim nawet opisałem wrażenie, jakie wywarł na mnie pierwszy widok wybrzeża. Cóż, niech i tak będzie. W domu jest teraz prawie północ, pora kiedy wszystkie kawiarnie dosłownie kipią żydem. Jakże bym chciał teraz tam być u Twego boku, Yasmin, zamiast wśród tych odzianych w czerwone i fioletowe stroje obcych, mrowiących się na ulicach niczym armia najeźdźców i znikających w swoich domach niczym uciekające do nor szczury. Jednak Ty, Yasmin, moja Matka lub ktokolwiek, kto będzie czytał te słowa, chciałby z pewnością wiedzieć, jak spędziłem dzień - tylko wy czasem o mnie myślicie, gdy tak siedzę nachylony nad starym, zniszczonym stołem w obskurnym pokoju i słucham dobiegającego z ulicy tupotu pośpiesznych kroków.

Dzisiejszego ranka spałem bardzo długo. Przypuszczam, że byłem bardziej zmęczony podróżą, niż początkowo przypuszczałem. Kiedy się obudziłem, miasto już od dawna żyło, rozbrzmiewając krzykami przekupniów zachwalających pod moim zamkniętym szczelnie oknem ryby i owoce, i łoskotem toczących się po popękanych bruku szerokich, metalowych kół wielkich, drewnianych wozów nazywanych przez Amerykanów „ciężarówkami”, które rozwożą towary pochodzące z zacumowanych na Potomacu statków. Można tutaj zobaczyć wiele dziwnych rzeczy, moja Yasmin. Kiedy siedłem na śniadanie (żeby dostać się do głównego holu i restauracji trzeba wyjść na dwór, co musi być bardzo niewygodne w razie złej pogody), ujrzałem jedną z tych „ciężarówek” zaprzęzoną w dwa woły, konia i muła - zapewniam Cię, że widok ten rozbawiłby Cię do łez. Woźnice bezustannie strzelają z batów.

Pierwsze wrażenie, jakie można odnieść jest takie, że Ameryka nie jest chyba aż tak biedna, jak się uważa. Dopiero później staje się oczywiste, jak wiele pozostało tutaj jeszcze z poprzedniego stulecia. Ulice są brukowane, ale chodniki i jezdnie są stare i popękane. Wszędzie stoją wspaniałe, chociaż bardzo zniszczone i zaniedbane budynki (mój hotel jest jednym z nich; nazywa się "Inn of Hollidays"), sprawiające wrażenie dużo wcześniejszych, niż u nas, gdzie tradycyjna architektura była przez tak wiele lat nakazana przez prawo. Hotel stoi przy Maine Street; kiedy już skończyłem śniadanie (było bardzo smaczne i według naszych standardów bardzo tanie, chociaż mówiono mi już, że poza sezonem nie sposób tutaj dostać czegokolwiek), zapytałem właściciela gdzie mam się udać, aby zobaczyć najbardziej godne uwagi miejsce. Właściciel jest niskim, wręcz nieprawdopodobnie brzydkim człowiekiem, jakby garbusem, podobnie jak wielu innych.

- Nie ma już żadnych wycieczek - pokręcił głową.

Wyjaśniłem mu, że chciałem po prostu trochę pospacerować, a przy okazji może wykonać jeden lub dwa szkice.

- A jeśli tak, to co innego. Na północ do budowli, na południe do teatru, na zachód do parku. Czy chce pan iść do parku, Mr. Jaffarzadeh?

\* Tallman - dosł. wysoki mężczyzna (przyp. tłum.).

- Jeszcze się nie zdecydowałem.
- Jeżeli pan tam idzie, to niech pan wynajmie przynajmniej dwóch ludzi do ochrony. Mogę panu polecić pewną agencję.
- Mam pistolet.
- To za mato, proszę pana.

Rzecz jasna postanowiłem w tym momencie, że pójdę do parku, i to zupełnie sam. Uznałem jednak, że rozsądniej będzie pozostawić sobie tę małą przygodę na później, kiedy już przekonam się, jakie jeszcze atrakcje, które wzbogacą moją osobowość, czekają na mnie w tym kraju.

Zgodnie z tą decyzją po wyjściu z hotelu skierowałem się na północ. Do obecnej chwili jeszcze nie widziałem tego, ani żadnego innego amerykańskiego miasta w nocy. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak wówczas wygląda, kiedy ludzie, tak jak to się dzieje u nas, wylęgają tłumnie na ulice. Nawet w środku jasnego dnia odnosi się wrażenie, że znalazło się w samym centrum karnawału, czy też przedstawienia jakiegoś zwariowanego cyrku, które rozpoczęło się ponad sto lat temu i jeszcze się nie skończyło.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jedynie co czwarta lub co piąta osoba nosi na sobie piętno genetycznej katastrofy, która zniszczyła starą Amerykę, ale kiedy przyzwyczaiłem się już nieco do panującego na ulicach rozgardiaszu, a tym samym stara, sprzedająca kwiatki kobieta i chłopak, który przemknął z wraskiem tuż przed kołami nadjeżdżającej, „ciężarówki” przestali być dla mnie tylko „Amerykanami”, a zaczęli być po prostu ludźmi - innymi słowy, zacząłem patrzeć na nich tak, jak spoglądam u nas na mijanych na ulicy przechodniów - zobaczyłem, że trudno jest znaleźć kogoś, kto nie byłby w taki czy inny sposób naznaczony. Te deformacje, chociaż każda z osobna jest z całą pewnością odrażająca, w połączeniu z barwnymi, jaskrawymi łachmanami nadają tej szkaradnej zbiorowości charakter karnawałowego korowodu. Szedłem niespiesznie przed siebie, mijając coraz to nowe grupy muzyków i na przestrzeni kilkunastu zaledwie kroków widziałem mężczyznę tak wysokiego, że siedząc na niskim stopniu był jeszcze znacznie wyższy ode mnie, brodatego karła o obumarłym ramieniu i kobietę, której twarz została przez jakiś diabelski wybryk losu podzielona na dwie części: jedną wielkooką i idiotycznie rozpaczającą, drugą wykrzywioną sztyrczym grymasem.

\*\*\*

Nie ma co do tego żadnej wątpliwości - Yasmin nie może tego przeczytać. Siedzę już tak od co najmniej godziny i wpatruje się w płomień świecy. Siedzę i słucham, jak od czasu do czasu coś uderza w stalowe okiennice mego pokoju. Prawda jest taka, że zostałem niemal sparaliżowany przez strach, który nie wiadomo skąd zagnieździł się we mnie wczoraj i narastał z każdą chwilą.

Wszyscy wiedzą, że Amerykanie byli kiedyś arcsprawnymi twórcami rozmaitych substancji wpływających na świadomość. Ta sama wiedza, dzięki której stworzyli z najróżniejszych chemikaliów to, co ich zniszczyło, a dzięki czemu ich chleb nigdy nie czerstwiał, mogli wytruć wszystkie szkodniki oraz dysponowali wielką ilością nadających się do wszelkich celów sztucznych materiałów, pozwoliła im na wytworzenie syntetycznych alkaloidów, które wywoływały gorączkowe zwidy i majaki.

Z całą pewnością przynajmniej część tych umiejętności przetrwała aż do dzisiaj, a nawet jeśli nie, to przynajmniej pewna ilość tych substancji, przechowanych w różnych skrytkach przez siedemdziesiąt lub sto lat, tym bardziej groźnych, im mniej o nich pamiętano. Podejrzewam, że ktoś na statku podał mi taki środek.

\*\*\*

Nareszcie! Poczulem się o tyle lepiej, kiedy wreszcie to napisałem - a kosztowało mnie to ogromnie dużo wysiłku - że aż wstałem z miejsca i przeszedłem kilka razy po pokoju. Napisałem, i od razu przestałem w to wierzyć.

A przecież w nocy śnił mi się ten chleb, o którym czytałem po raz pierwszy w małej salce lekcyjnej wiejskiego domu wuja Mirzy. Nie był to żaden złożony, wielowarstwowy sen, jakie nieraz miewałem i nad jakimi rozmyślałem później przy porannej kawie, tylko wizja bochenka białego chleba leżącego na tacy pośrodku niewielkiego stołu. Chleba, który zachował jeszcze zapach pieca (bez wątplenia jeden z najcudowniejszych, jakie istnieją na świecie), chociaż cały pokryty był szarą pleśnią. Dlaczego Amery-

Kanie pragnęli czegoś takiego? A jednak wszyscy historycy stwierdzają zgodnie, że pragnęli, podobnie jak chcieli zapewnić swoim zmarłym pozory wiecznego życia.

To ten kraj, ze swymi kolorowymi, cuchnącymi ulicami, zdeformowanymi ludźmi i ostrą, obcą mową sprawia, że czuję się otumaniony i oszołomiony. Chwała Allachowi, że chociaż do Ciebie mogę mówić w moim ojczystym języku, o Księgo! Czy uwierzycie, że wyciągnąłem wszystkie moje ubrania, żeby przynajmniej przeczytać ich metki? Czy ja sam uwierzę, kiedy będę to czytał w domu?

\*\*\*

Wznoszące się w północnej części miasta budowle publiczne - w których, jak się domyślam, koncentrowała się niegdyś wszelka działalność polityczna - stanowią znaczny kontrast w porównaniu z ulicami wciąż jeszcze zamieszkanymi terenów. W tych ostatnich wszystkie budynki znajdują się w końcowym stadium rozkładu lub też były niefachowo naprawiane przy użyciu niewystarczających środków, ale wszystkie aż kipią życiem, rojąc się od tych, którzy egzystują dzięki działalności handlowej związanej z wciąż jeszcze czynnym portem, od tych, którzy są od nich uzależnieni i tak dalej, i tak dalej. Monumentalne budowle, jako że wzniesione z najodporniejszych materiałów, wydają się niemal nienaruszone, chociaż tu i ówdzie można dostrzec zwaloną kolumnę lub przechylny portyk, zaś w pęknięciach ścian zagnieździły się małe, smutne drzewka - zdaje się, że przede wszystkim *carpinus caroliniana*. Jeżeli jednak jest prawdą to, co się czyta, że broda czasu jest siwa nie z powodu upływu lat, lecz od pyłu zrujnowanych miast, to większość tego pyłu musi pochodzić właśnie stąd. Te imponujące skorupy są już naprawdę tylko skorupami. Wydaje się, że wznoszono je z myślą o mechanicznej wentylacji, bowiem wiele z nich jest zupełnie pozbawiona okien, stanowiąc jedynie mroczne, cuchnące rozkładem jaskinie, w które nie odważyłem się zapuścić. Inne z kolei miały całe ściany ze szkła, których nieliczne tafle pozostały na swoim miejscu, dzięki czemu mogłem naszkicować zarysy tych budynków. Większość jednak była zniszczona, a broda czasu zmioła nawet ostre, szklane odłamki.

Chociaż te stare budowle (z jednym tylko czy dwoma wyjątkami), są zupełnie puste, napotkałem wielu żebraków. Byli to tubylcy, którym deformacje ciała uniemożliwiały jakkolwiek prace. Nie sposób było nie czuć dla nich współczucia, chociaż ich wygląd jest niejednokrotnie równie odstręczający, jak ich natręctwo. Proponowali mi, że zaprowadzą mnie do dawnej rezydencji ich padyszacha, więc aby mieć pretekst do dania im kilku drobnych monet poszedłem z nimi, każąc im uprzednio przysiąc, że pozostawią mnie później w spokoju.

Budynek, który mi pokazali, usytuowany był na końcu długiej alei, wzdłuż której wznosiły się wspinalne budowle, więc mieli chyba rację twierdząc, że niegdyś znajdowało się w nim coś ważnego. Pozostały z niego ledwie fundamenty, trochę gruzu i jedno walące się skrzydło, więc nie mógł być zbudowany ze zbyt odpornych materiałów. Bez wątplenia był to jakiś letni pałac lub inna tego typu rezydencja. Żebracy zapomnieli już, jak się nazywał i mówili o nim po prostu „biały dom”.

Znalazłszy się tam udałem, że zamierzam wykonać kilka szkiców, więc zgodnie z danym mi przyrzeczeniem wszyscy odeszli. Jednak po jakichś pięciu lub dziesięciu minutach powrócił jeden z nich, najbardziej widać ze wszystkich przedsiębiorcy. Nie miał dolnej szczeki, więc zrozumienie go sprawiło mi początkowo trochę trudności, ale po kilku minutach pokrzykiwania - ja kazałem mu iść precz i groziłem, że zabije go na miejscu, a on głośno protestował - zorientowałem się, że „b” to u niego „d”, „m” to „n”, „p” zaś to „t”, i od tej chwili poszło nam znacznie lepiej.

Nie będę próbował oddać na piśmie jego wymowy. Powiedział, że ponieważ okazałem się tak hojny, pragnie pokazać mi wielki sekret - coś, o czym cudzoziemcy tacy jak ja nie wiedzą nawet, że istnieje.

- Pewnie chodzi ci o czystą wodę - podsunąłem.

- Nie, nie. To wielki, bardzo wielki sekret, kapitanie. Myślisz, że to wszystko jest martwe? - Wskazał swoją zdeformowaną ręką na otaczające nas, zrujnowane budowle.

- Rzeczywiście, tak sędzę.

- Jedną ciągle żyje. Chcesz zobaczyć? Zaprowadzę. Nie przejmuj się innymi, oni się mnie boją. Odpędzę ich.

- Jeżeli planujesz jakąś zasadzkę, to ostrzegam cię, że ty pierwszy w niej zginiesz. Przyjrzał mi się uważnie. W jego zdeformowanej twarzy dostrzegłem nagle coś ludzkiego i poczułem iskierkę autentycznego współczucia.

- Widzisz tam? Ten duży dom na południu, przy Pennsylvania Avenue? Kapitanie, ojciec ojca mojego ojca był tam ministrem („ninstren”). Nie oszukam cię.

Sądząc z tego, co czytałem o polityce tego kraju z czasów ojca ojca ojca ojca było to bardzo niewiele znaczące zapewnienie, ale mimo to poszedłem za nim.

Minęliśmy kilka kwartałów, przechodząc po drodze przez dwa zniszczone budynki. W obydwu dostrzegłem ludzkie kości i przypomniawszy sobie o jego przechwalce zapytałem, czy są to szczątki tych, którzy tu kiedyś pracowali.

- Nie, nie - poklepał się po piersi (jakiś nawykowy gest, jak przypuszczam) i uniósłszy z podłogi jedną z czaszek przytrzymał ją tuż przy swojej głowie, żebym mógł zauważyć deformacje bardzo podobne do jego własnych. - My tu śpimy, chroniąc się za grubymi ścianami przed różnymi rzeczami, które przychodzą nocą. Tu umieramy, najczęściej zimą. Nikt nas nie grzebie.

- Sami powinniście to robić - zauważyłem.

Rzucił czaszkę, która spadła z trzaskiem na kamienną podłogę, budząc tysiackrotne, ponure echo.

- Nie ma łopat, nie ma siły. Chodź.

Na pierwszy rzut oka budynek, do którego mnie przyprowadził sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zniszczonego od tych, które widziałem do tej pory. Jedna z jego wież leżała w gruzach. Jednak przyjrawszy się dokładniej stwierdziłem, że mimo wszystko chyba mnie nie okłamał. Powybijane okna były zasłonięte okiennicami wykonanymi przynajmniej równie starannie jak te, które znajdują się tu, w moim pokoju, zaś drzwi, chociaż stare i zniszczone, były szczelnie zamknięte i sprawiały wrażenie bardzo solidnych.

- To jest muzeum - poinformował mnie mój przewodnik. - Chyba ostatni fragment Milczącego Miasta, które ciągle jeszcze żyje tak jak dawniej. Chcesz wejść do środka? Odparłem, iż wątpię, czy udałoby nam się tego dokonać.

- Tam są wspaniałe maszyny. - Pociągnął mnie za rękaw. - Wiec chociaż zajrzyj, kapitanie. Chodź.

Poszliśmy wzdłuż ściany budynku, mijając jej liczne załamania i wreszcie dotarliśmy do znajdującego się na jego zapleczu czegoś w rodzaju niszy, czy też alkowy. Żebrak wskazał z dumą na metalową, zarośniętą częściowo zielskim kratę. Kazałem mu odejść nieco dalej, po czym ukłękłem na ziemi i zająłem do środka.

Za kratą była nienaruszona, bardzo brudna szyba, ale mimo to mogłem dostrzec wnętrze piwnicy. Tak jak powiedział mój przewodnik, w równych szeregach stały tam najróżniejsze mechanizmy.

Przyglądałem im się przez dłuższy czas, próbując odgadnąć, do czego mogły służyć. W pewnej chwili pojawił się między nimi jakiś stary Amerykanin. Szedł niespiesznie, spoglądając to na jedną stronę, to na drugą, przecierając co chwila metalowe części trzymaną w dłoni szmatą.

Tymczasem żebrak zbliżył się do mnie i wskazując na starego mężczyznę powiedział:

- Wciąż przyjeżdżają z północy i południa, żeby się tutaj uczyć. Pewnego dnia znowu będziemy wielcy.

Pomyślałem wtedy o moim ukochanym kraju, w którym taki ponury, smutny czas - chociaż bez genetycznych zniszczeń - trwał dwadzieścia trzy stulecia. Dałem mu trochę pieniędzy, powiedziałem, że ja również wierze w to, iż Ameryka znowu będzie wielka i wróciłem do hotelu.

Otworzyłem okiennice, żeby móc widzieć górujący nad miastem obelisk i schwytać nieco promieni zachodzącego słońca. Jego ogniste pola i doliny nie wydają mi się wcale bardziej obce czy groźne od tego dziwnego, przygnębiającego kraju. Mimo to wiem, że wszyscy stanowimy jedność: żebrak, opiekujący się maszynami starzec, same maszyny, słońce i ja. Sto lat temu, kiedy to miasto kipiało życiem, filozofowie zastanawiali się, dlaczego wszystkie neutrony, protony i elektrony mają dokładnie taką samą masę. Teraz wiemy, że istnieje tylko jedna cząstka każdego tego rodzaju przenosząca się bezustannie w przeszłość i przyszłość - elektron, gdy kierunek jego przemieszczania jest taki sam, jak nasz, a pozytron, kiedy jego przesunięcie w czasie posiada znak ujemny. Aby stworzyć jeden przedmiot te same cząsteczki muszą pojawić się miliardy miliardów razy, a ponieważ w ten sam sposób powstają wszystkie przedmioty, wszyscy jesteśmy zaledwie szkicami wykonanymi tym samym zestawem kredek.

Wszedłem, żeby coś zjeść. Niedaleko hotelu znajduje się dobra restauracja, lepsza nawet od tej, która

jest na miejscu. Kiedy wróciłem, właściciel poinformował mnie, że dzisiejszego wieczoru w teatrze odbędzie się przedstawienie i zapewnił, że ponieważ jest to tak blisko stąd (bardzo się chlubi tym teatrem, którego obecność w pobliżu stanowi chyba jedyną okoliczność uzasadniającą istnienie jego hotelu), będę mógł pójść tam bez żadnej eskorty. Prawdę mówiąc wstyd mi nieco, że nie wynająłem dzisiaj toż, żeby przedostać się do leżącego po drugiej stronie kanału parku, teraz wiec przynajmniej pójde na przedstawienie, rzucając wyzwanie pogrążonym w mroku ulicom.

\*\*\*

Jestem już z powrotem w tym zbyt dużym, pustym, nieprzytulnym pokoju, który powoli zaczyna się stawać moim drugim domem, nie mogąc się pochwalić żadnymi przygodami. Teatr znajduje się co najwyżej sto kroków na południe od hotelu. Trzymając dłoń na rękojeści pistoletu i czując się cokolwiek głupio zmierzałem w tamtą stronę wraz z całkiem sporym tłumem, składającym się głównie z Amerykanów.

Sam budynek jest przynajmniej równie stary jak te, które wznoszą się w Milczącym Mieście, ale znajduje się w znacznie lepszym stanie. U publiczności - w znacznie większym stopniu, niż u nas - dawało się wyczuć nastrój rozbawienia (choć dla mnie w sporej części był to obcy i niezrozumiały jego rodzaj), zaś mniej było tego, co nazwałbym „uwielbieniem Sztuki”. Mimo to wiedziałem, że dramat cieszy się tutaj prawdziwą estymą, na co wskazywały choćby różnobarwne, urozmaicone stroje publiczności. Respekt okazywany w przesadnie poważny sposób jest zawsze dowodem małej wiary.

Będąc po kolacji minąłem obojętnie ustawione w foyer stoiska, przy których Amerykanie (jedzący, zdaje się, niemal bez przerwy wszystko, na co tylko mogą sobie pozwolić) kupowali najróżniejsze zimne przekąski i słodczyce, i poszedłem prosto na widownię. Ledwo zdążyłem zająć miejsce, kiedy starszy, palący fajkę dżentelmen poprosił mnie, bym umożliwił mu dojście do jego fotela. Rzecz jasna natychmiast wstałem z miejsca i przepuściłem go, zgodnie z naszymi (jeśli nie ich) nakazami dobrego wychowania zwracając się do niego „Dziadku”. Kiedy siadał, a ja wciąż jeszcze stałem, spojrzałem na jego twarz dokładnie pod tym samym kątem, pod jakim widziałem ją po południu i rozpoznałem w nim tego starego człowieka, którego obserwowałem przez zakratowane okno w hali maszyn.

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Miałem wielką ochotę z nim porozmawiać, ale jednocześnie nie mogłem przecież przyznać się do tego, że go szpiegowałem. Roztrząsałem właśnie ten problem, kiedy światła zgasły i rozpoczęło się przedstawienie.

Były to „Odwiedziny na małej planecie” Vidala, jedna z klasycznych sztuk starego amerykańskiego teatru, o której wiele czytałem, lecz nigdy wcześniej nie miałem okazji oglądać. Z pewnością podobałaby mi się znacznie bardziej, gdyby wystawiono ją w scenografii i kostiumach z epoki, ale niestety reżyser postanowił „unowocześnić” całe przedsięwzięcie, podobnie jak u nas wystawia się „Rustam Bega” w taki sposób, jakby Rustam był bohaterem dopiero co zakończonej wojny. Generał Powers został przedstawiony jako współczesny amerykański żołnierz o manierach tchórzliwego bandyty, Spelding jako wydawca oszczerczych plakatów i tak dalej, i tak dalej. Jedynymi postaciami, których koncepcja rzeczywiście mi się spodobała, byli kuśtykający kosmonauta Kreton oraz niewinna bohaterka, Ellen Spelding, grana przez promieniującą urodą, jasnowłosą Amerykankę.

Przez cały czas trwania pierwszego aktu (a szczególnie podczas dłuższych kwestii wygłaszanych przez Ellen Spelding), myślałem o siedzącym obok mnie starym człowieku. Jeszcze przed opuszczeniem kurtyny zdecydowałem, że najlepszym sposobem nawiązania znajomości będzie oferta przyniesienia mu z foyer kebaba (lub czegośkolwiek, na co miałby ochotę), jako że jego wychudzona sylwetka sugerowała, iż nie miałby nic przeciwko poczęstunkowi, zaś wyraźna słabość nóg stanowiła znakomity pretekst do złożenia takiej propozycji. Wypróbowałem ten gambit natychmiast po zapaleniu pochodni. Zadziałał tak, jak sobie tego życzyłem. Kiedy wróciłem, niosąc na papierowej tacy kanapki i napoje, mój sąsiad poinformował mnie, iż podczas przedstawienia zauważył, jak bezwiednie zginam i rozprostowuję prawą dłoń.

- Zgadza się - potwierdziłem. - Przed przyjściem tutaj sporo pisałem.

Sprowokowało go to do wygłoszenia długiego, częściowo dla mnie niezrozumiałego wykładu na temat różnych rodzajów maszyn do pisania. Potok słów powstrzymało dopiero jakieś moje pytanie, które musiało mu chyba uświadomić, że orientuje się w tej dziedzinie znacznie słabiej, niż przypuszczał.

- Czy zdarzyło ci się kiedyś wyrzeźbić literę w ziemniaku, a następnie użyć jej do stemplowania papieru?

- Robiłem to jako dziecko - odparłem. - Używaliśmy do tego rzepy, ale zasada była ta sama.

- Dokładnie, a chodzi tu o zasadę przedłużonej abstrakcji. Odpowiedz mi teraz na takie oto pytanie: co stanowi środek przenoszenia informacji na najniższym z możliwych poziomów?

- Przypuszczam, że mowa.

Jego ostry śmiech wzbili się ponad gwar rozmów.

- Wcale nie! To zapach - tu chwycił mnie mocno za ramię - zapach jest esencją wszelkiego porozumiewania się. Zwróć zresztą uwagę na samo słowo „esencja”. Czując zapach innego człowieka przyjmujesz do swego ciała wyprodukowane przez niego związki chemiczne, analizujesz je i na podstawie tej analizy określasz jego stan emocjonalny. Czynisz to bezustannie i do tego stopnia automatycznie, że w znacznej mierze nie zdajesz sobie z tego sprawy, i mówisz po prostu: „Wydawał się przestraszony”; albo „Był zły”. Rozumiesz?

Skinąłem głową, mimo woli zainteresowany jego słowami.

- Kiedy mówisz, informujesz swego rozmówcę jak byś pachniał, gdybyś pachniał tak, jak powinieś i gdyby on mógł wyczuć to tam, gdzie teraz stoi. Jest niemal pewne, że mowa rozwinęła się dopiero wówczas, gdy pliocieńskie złodowacenia zmusiły człowieka do wynalezienia ognia i gdy w wyniku częstego wdychania dymu jego zmysł powonienia uległ znacznemu osłabieniu.

- Widzę, do czego pan zmierza.

- Nie, wcale nie widzisz. Ty słyszysz, chyba że potrafisz czytać z ruchu ust, co w tym zgielku byłoby bardzo przydatną umiejętnością. - Odgrył potężny kęs, rozsypując okruszki różowego mięsa, które z całą pewnością nie pochodziło z żadnego prawdziwego zwierzęcia. - Kiedy piszesz, informujesz kogoś, co byś mówił, gdyby on mógł cię słyszeć, a drukując litery rzepą mówisz mu, co byś pisał. Zauważ, że tym samym osiągnęliśmy już trzeci poziom abstrakcji.

Ponownie skinąłem głową.

- Niegdyś uważało się, że dopuszczalne jest istnienie jedynie określonej liczby J? poziomów abstrakcji, zanim dojdzie do całkowitego zniknięcia pierwotnego przesłania. Około siedemdziesięciu lat temu przeprowadzono bardzo ciekawe obliczenia, mające na celu ustalenie dla różnych systemów dokładnie sprecyzowanej liczby K. Teraz wiemy już, że w przypadku o otwartej krzywej liczba ta może równać się nieskończoności oraz że możliwe są także przebiegi o krzywej zamkniętej.

- Nie rozumiem.

- Jesteś młody i przystojny, ze swoimi szerokimi ramionami i czarnym wąsem prezentujesz się nadzwyczaj okazale. Przypuśćmy, że zakochuje się w tobie młoda kobieta. Gdybyście siedzieli razem na gałęzi jakiegoś drzewa prawdopodobnie czułbyś zapach jej pożądania. Ona mówi ci o tym pożądaniu, ale może ci przecież o nim również napisać, czyż nie tak?

Przyznałem mu rację, przypomniawszy sobie listy Yasmin.

- Załóżmy jednak, że te listy są przesycone słodkim, ciężkim zapachem perfum. Rozumiesz? To właśnie krzywa zamknięta: woń perfum nie jest wonią jej ciała, lecz jej sztuczną symulacją. Może to nie być to, co ona czuje, ale to, co ona ci mówi, że czuje. Twoja miłość jest w rzeczywistości skierowana do wieloryba, jelenia i klombu róż. - Chciał powiedzieć jeszcze coś więcej, ale kurtyna poszła w górę i rozpoczął się drugi akt.

Dla mnie okazał się on zarazem bardziej zabawny, jak i bardziej bolesny. Pierwsza scena, w której Kreton (do którego wkrótce dołącza Ellen) odczytuje myśli domowego kota, została rozwiązana wręcz znakomicie. Muzyka ukrytej przed wzrokiem widzów orkiestry ilustrowała myśli zwierzęcia. Żałuje, że nie znam nazwiska kompozytora, ale nie zostało ono wymienione w programie. Ściana sypialni stała się ekranem w teatrze cieni. Widoczne na nim sylwetki kotów najpierw uganiały się za ptakami, a potem, gdy palce Ellen dotknęły brzucha zwierzęcia, uprawiały miłość. Jak już wspomniałem, Kreton i Ellen stanowili najznakomitsze postaci przedstawienia. Zestawienie delikatnej urody Ellen i jej szlachetnej naiwności z odczuwanym przez Kretona pożądaniem w znakomity sposób uwidaczniało trudności, jakie w tej sytuacji musiały pojawić się przed każdym telepatą, gdyby tacy rzeczywiście istnieli.



Z drugiej strony jednak kończąca akt scena, w której Kreton przywołuje prezydentów, zrobiona była najgorzej, jak tylko można sobie wyobrazić. Pojawiający się na skutek pomyłki obcy władca grany był w sposób pozbawiony odrobiny dobrego smaku przez jakiegoś Turka. Przyznaje, że jestem nieco uprzedzony wobec tej łaknącej krwi rasy, ale i tak to, co widziałem nie może w żaden sposób zostać usprawiedliwione. Prezydent Rady światowej, który się wreszcie zjawił, został przedstawiony jako Amerykanin.

Pod koniec tej sceny znajdowałem się w nie najlepszym nastroju. Sądzę, że nie doszedłem jeszcze zupełnie do siebie po trudach podróży, a ponieważ cały dzień spędziłem na dość w sumie meczących wędrówkach wśród ruin Milczącego Miasta, byłem w takim stanie ducha, w którym nawet najmniejsze poirytowanie odbiera się jako śmiertelną obrazę. Siedzący obok mnie starzec wyczuł moje niezadowolenie, ale źle odgadł jego przyczynę, bowiem zaczął przeproszać mnie za podłą kondycję amerykańskiej sceny, mówiąc, że wszyscy utalentowani aktorzy emigrują, gdy tylko uda im się zdobyć większy rozgłos, zaś wracają dopiero wówczas, kiedy nie powiedzie im się po drugiej stronie Atlantyku.

- Nie, nie - zaprzeczyłem. - Kreton i dziewczyna są bardzo dobrzy, a reszta obsady co najmniej przyzwoita.

Mogło się wydawać, że w ogóle mnie nie usłyszał.

- Biorą ich, skąd tylko mogą. Najważniejsza jest twarz. Wystarczy, że wystąpią w trzech przedstawieniach i już uważają się za aktorów. W Smithsonian Institute (już chyba wspominałem, że tam pracuje?), mamy taśmy z prawdziwymi mistrzami: Laurence Olivier, Orson Welles, Katharine Cornell. Spelding jest fryzjerem, a w każdym razie nim był. Ustawiał krzeselko pod starym pomnikiem Kennedy'ego i golił przechodniów. Ellen jest ulicznicą, Powers woźnicą, a ten kulawy Kreton jeszcze niedawno naganiał marynarzy do wesołego domku przy Portland Street.

Jego pogarda dla własnej kultury narodowej nieco mnie zażenowała, chociaż jednocześnie wprawiła mnie w lepszy nastrój. (Zauważyłem, że te dwa doznania często są ze sobą połączone - być może w głębi duszy czuje się upokorzony faktem, że ludzie nie mający żadnego znaczenia mogą wpłynąć na stan mego ducha zaledwie kilkoma słowami lub jakimś nieistotnym czynem). Opuściłem go i poszedłem do znajdującego się w holu straganu ze słodkościami. Amerykanie mają bardzo sympatyczny zwyczaj wykonywania z marcepanu kopii nakrapianych jaj dzikiego ptactwa. Kupiłem całe ich pudełko, nie tylko dlatego, że sam chciałem ich spróbować, ale ponieważ byłem pewien, że będą stanowiły nie lada atrakcję dla starca, który z całą pewnością nie był dość zamożny, żeby móc sobie często pozwolić na tego rodzaju smakołyki. Okazało się, że miałem rację, bowiem zaczął je od razu ze smakiem zajadać. Ja również skosztowałem, ale zapach marcepanowego jajka okazał się tak nieprzyjemny (jakby składało się wyłącznie ze sztucznych barwników), że nie sięgnąłem już po następne.

- Mówiliśmy o pisaniu oraz o zamkniętej i otwartej krzywej - odezwał się po pewnym czasie starzec. - Nie zdążyłem powiedzieć, że obie można uzyskać w czysto mechaniczny sposób, ale monografia, nad którą właśnie pracuję, dotyczy właśnie tego problemu, a tak się składa, że akurat mam przy sobie kilka przeznaczonych do niej przykładów. Najpierw krzywa zamknięta. W czasach, kiedy nasz prezydent zaliczał się do dziesięciu najpotężniejszych ludzi na świecie - tak jak Paul Laurent, którego widzisz na scenie - podczas pełnienia swego urzędu otrzymywał każdego dnia setki listów z prośbą o przesłanie swego podpisu. Gdyby chciał te prośby spełnić, zajmowałoby mu to kilka godzin dziennie, zaś gdyby odmówił, zyskałby całe zastępy wrogów.

- Cóż więc uczynił?

- Odwołał się do nauki, a ona stworzyła maszynę, która to napisała. Zza poły swego zniszczonego, ale czystego ubrania wyciągnął złożoną kilkakrotnie kartkę papieru. Rozłożywszy ją zobaczyłem, że zawierała tekst czegoś w rodzaju krótkiego przemówienia, napisany dziecięcym charakterem pisma. Usiłując przypomnieć sobie listę amerykańskich prezydentów, którą widziałem kiedyś w jakimś almanachu, zapytałem, czyja to była ręka.

- Maszyny. Natomiast to, czyją rękę imitowała jest jedną z zagadek, które usiłuję wyjaśnić. W przyćmionym świetle niemal niemożliwością było odczytać wyblakłe pismo, ale udało mi się zidentyfikować słowo *Sardynia*

- Chyba nietrudno będzie umiejscowić je w czasie, porównując jego treść ze znanymi wydarzeniami historycznymi?

Stary człowiek potrząsnął głową.

- Autorem treści jest inna maszyna, która miała za zadanie wywołać u odbiorców określony efekt psychologiczny. Wątpię, czy znajdują się tam jakiegokolwiek odniesienia do bieżących wydarzeń. Ale proszę spojrzeć tutaj. - Wyciągnął następną kartkę i rozłożył ją przede mną. Na ile mogłem stwierdzić, była zupełnie czysta. Wpatrywałem się w nią jeszcze, kiedy kurtyna poszła w górę.

W chwili, kiedy pojawił się Kreton ze swym miniaturowym samolotem, starzec wziął kolejne jajko i odwrócił się w stronę sceny. Pudełko było jeszcze w połowie pełne. Spodziewając się, że będzie miał później ochotę na jego zawartość, a także z obawy, żebym go nie upuścił rozsypując słodczyne na podłogę, zamknąłem je i schowałem do bocznej kieszeni mojej marynarki.

Efekty specjalne towarzyszące lądowaniu drugiego statku kosmicznego zostały przygotowane bardzo starannie, ale w trzecim akcie było jeszcze coś, co sprawiło mi nie mniej satysfakcji, niż scena z kotem w akcie drugim Otóż wykorzystano chwyt sceniczny znany u nas pod nazwą „złotogłowi Periego”, tak już wyeksplorowany, że możliwy do zaakceptowania jedynie pod warunkiem zastosowania w zupełnie nowy, świeży sposób. John - kochanek Ellen - znajduje chusteczkę Kretona i poczuwszy zapach perfum przykłada ją do nosa. W tym samym momencie podświetlana ściana, którą wykorzystano w drugim akcie, rozjaśnia się, aby graficznie (a według mnie wręcz pomograficznie) zaprezentować pragnienia i požądania Ellen, zdradzając tym samym publiczności, że John posiadał na te krótką chwilę telepatyczne zdolności Kretona, o którym wszyscy zdążyli już zapomnieć.

Chwyt ten okazał się nadzwyczaj przekonujący, utwierdzając mnie w przekonaniu, że w żadnym wypadku nie zmarnowałem tego wieczoru. Przyłączyłem się do powszechnej owacji, jaka wybuchła, gdy aktorzy wyszli przed kurtynę. Potem, kiedy zabierałem się już do wyjścia, zauważyłem, że mój sąsiad sprawia wrażenie bardzo chorego. Zapytałem go, czy nic mu nie jest, a on wyznał mi ze smutkiem, że chyba zjadł zbyt dużo i podziękował mi za moją troskliwość. To, że zdobył się na to w takiej chwili świadczyło o jego naprawdę dobrych manierach.

Pomogłem mu wyjść z teatru, a zobaczywszy, że nie dysponuje żadnym środkiem lokomocji zaproponowałem, że odprowadzę go do domu. Podziękował mi ponownie i powiedział, że mieszka w pokoju przy muzeum.

W ten oto sposób kilkuminutowy spacer z teatru do hotelu zamienił się w trzy lub nawet czterokilometrową wędrowkę przy świetle księżycy, której większa część prowadziła zaśmieconymi ulicami opuszczonej części miasta.

Za dnia ledwo co zwróciłem uwagę na nagi szkielet autostrady. Nocą, kiedy wędrowaliśmy pod jej zrujnowanymi estakadami, zrobiła na mnie wrażenie czegoś nieprawdopodobnie starego i złowieszczonego. Przyszło mi wtedy na myśl, że gdzieś na Atlantyku może znajdować się jakiś uskok czasowy, taki sam, o jakich istnieniu w kosmosie donoszą nasi astronomowie. Jak to jest, że zachodni brzeg Oceanu, choć pokryty ruinami nie mającymi nawet wieku, wydaje się o tyle starszy od naszego, nad którym unosi się jeszcze cień Dariusza? Czyż nie może być tak, że każdy statek przemierzający wody Atlantyku cofa się o dziesięć tysięcy lat?

\*\*\*

Przez ostatnią, bezsenność godzinę zastanawiałem się, czy wprowadzić do mojego notatnika ten zapis. Jaka jednak wartość miałby dziennik podróży, gdyby nie zawierał wszystkiego, co się podczas niej wydarzyło? r Przejrzę go podczas drogi powrotnej, żeby przedstawić matce i Yasmin poprawioną, wygładzoną wersję

Wydaje się że zajmujący się muzeum uczeni nie mają żadnych dochodów oprócz tych, jakie uzyskują ze sprzedaży wydartych przeszłości skarbów. Od kobiety, która pomogła mi położyć starca do łóżka kupiłem fiolkę czegoś, co ma być najwspanialszym dziełem nieżyjących już od dawna chemików, którzy zajmowali się tworzeniem i produkcją środków halucynogennych. Jest ona - a właściwie, była - wysokości potowy mego serdecznego palca. Niewykluczone, że zawierała tylko zwykły alkohol, chociaż zapłaciłem za nią niebagatelną cenę.

Zacząłem tego żałować jeszcze zanim stamtąd odszedłem i wcale nie przestałem po powrocie do hotelu, ale wtedy wydawało się, że jest to jedyna w swoim rodzaju okazja i nie mogłem się oprzeć, żeby podjąć wyzwanie. Po zażyciu tego środka będą już do końca życia niekwestionowanym autorytetem w tych sprawach.

Oto, co uczyniłem: nasączyłem płynem z fiolki jedno z pozostałych w pudełku, marcepanowych jajek. Płyn z pewnością szybko wyschnie, ale narkotyk - jeżeli w ogóle jakiś jest - pozostanie. Wymieszam dokładnie jajka i codziennie, poczynając od jutrzejszego wieczoru, będę jedno zjadał.

•••

Usiadłem do pisania jeszcze przed śniadaniem, między innymi dlatego, że nie spodziewam się, żeby obsługiwano gości tak wcześnie rano. Dzisiaj mam zamiar odwiedzić park rozciągający się po drugiej stronie kanału. Jeśli jest tam tak niebezpiecznie, jak mówią, to najprawdopodobniej już nie wrócę, żeby opisać wydarzenia dnia. Jeżeli jednak wrócę... Cóż, wtedy zastanowię się, co powinienem zrobić.

Wczoraj, chociaż byłem potwornie zmęczony, jednak nie mogłem zasnąć. Być może sprawiło to podniecenie wywołane nadspodziewanie długą drogą powrotną z teatru, ale jest faktem, że cały czas miałem przed oczami obraz Ellen. Moje wędrujące swobodnie myśli powiązały ją z marcepanowymi jajkami - wyobraziłem sobie, że jestem Kretonem i siedzę na łóżku trzymając w objęciach kota, a Ellen wnosi na tacy śniadanie, składające się z sześciu słodkich jajek.

Kiedy już mój umysł przestał produkować tego rodzaju fantasmagorie, postanowiłem polecić właścicielowi, żeby sprowadził mi jakąś dziewczynę, abym mógł pozbyć się wywołanego podróży napięcia. Wrócił po mnie więcej godzinie, spędzonej przeze mnie na lekturze, przyprowadzając aż trzy. Najpierw dał mi na nie zerknąć przez szparę w drzwiach, a potem wślizgnął się do pokoju, pozostawiając je na korytarzu. Zwróciłem mu uwagę, że prosiłem tylko o jedną.

- Wiem, Mr Jaffarzadeh, wiem. Pomyślałem tylko, że może będzie pan chciał sam wybrać. Sądząc z tego, co udało mi się przez te krótką chwilę zobaczyć, żadna z nich nie przypominała Ellen. Mimo to podziękowałem mu za jego zapobiegliwość i zaproponowałem, żeby wpuścił je do środka.

- Chciałem panu najpierw powiedzieć, sir, że musi mi pan pozwolić ustalić z nimi cenę. Mogę uzyskać znacznie niższą niż pan, bowiem wiedzą, że nie uda im się mnie oszukać, a poza tym liczą na to, że będę je w przyszłości polecał moim gościom. - Wymienił zupełnie nieistotną sumę.

- W porządku - skinąłem głową. - A teraz proszę je wprowadzić.

Sklonił się z uśmiechem, starając się nadać swej mizernej, szczupłej twarzy jak najbardziej miły wyraz. Patrząc na niego przypomniałem sobie obraz, przedstawiający Karła wezwanego przed oblicze Sulejmana.

- Przedtem jednak chciałbym pana poinformować, że gdyby zechciał pan mieć wszystkie trzy jednocześnie, może pan to zrobić, płacąc tak, jak za dwie. Gdyby zaś zainteresował się pan dwiema, może je pan mieć za półtorej ceny. Pomyślałem, że zechce pan wziąć to pod uwagę, jako że wszystkie są nadzwyczaj urocze.

- W porządku, wziąłem. Wpuść je.

- Zapale jeszcze jedną świecę - paplał bez ustanku, uwijając się po pokoju. - Przy cenie, jaką pan płaci, nie pobieram za to dodatkowej opłaty. Dziewczęta również mogą dopisać do rachunku, oczywiście jako sprzątaczkę, ma się rozumieć.

Kiedy świeca już płonęła, a on ustawił ją na oddzielającej oba łóżka szafce, otworzył drzwi i skinął na czekające dziewczyny.

- Ja już sobie pójdę - powiedział. - Proszę wybrać co się panu podoba, a resztę odesłać. - (Byłem pewien, że uczynił to z premedytacją. Spodziewał się, że nie będę mógł zdecydować się na odprawienie którejkolwiek z nich i będę musiał zapłacić za wszystkie trzy).

Postanowiłem już, że Yasmin nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Chodzi nie tyle o te sytuacje, co o to, co potem nastąpiło. Siadłem na łóżku stojącym najbliżej drzwi, mając nadzieję zdecydować szybko, która z nich najbardziej przypominała kobietę odtwarzającą rolę Ellen. Pierwsza była zbyt niska i miała bladą, mizerną twarz. Druga, blondynka, była wysoka, ale zbyt tłusta. Trzecia, która wchodząc potknęła się w progę, do złudzenia przypominała Yasmin.

Przez kilka sekund nawet uwierzyłem, że to naprawdę ona. Nauka tak przyzwyczaiła nas do wymyślenia i akceptowania najfantastyczniejszych teorii, tłumaczących zachodzące wokół nas wydarzenia, że nasze umysły tworzą je niemal odruchowo, bez udziału naszej świadomości. Yasmin stęskniła się za mną, w kilka dni po moim wyjeździe zarezerwowała sobie kabinę, a może nawet zdecydowała się na podróż drogą powietrzną, mimo powszechnie znanego stanu amerykańskich lotnisk. Przybywszy tutaj zasięgnęła informacji w konsulacie i zjawiła się pod moimi drzwiami w chwili, kiedy właściciel zapalał świecę, a następnie nic o tym nie wiedząc weszła w towarzystwie sprowadzonych przez niego prostytutek.

Było to, rzecz jasna, czyste szaleństwo. Zerwałem się z miejsca i chwyciłem świecę po to tylko, żeby zobaczyć, że dziewczyna, chociaż miała duże, ciemne oczy i matą, zaokrągloną brodę Yasmin, jednak nią nie była. Pomimo kruczoczarnych włosów i delikatnych rysów bez wątpienia była Amerykanką, a kiedy podeszła do mnie (zachęcona z pewnością zainteresowaniem, jakie jej okazałem), zobaczyłem, że podobnie jak Kreton ma sztuczną stopę.

\*\*\*

Jak widzicie, mimo wszystko wróciłem żywy z wyprawy do parku. Zanim udam się na spoczynek zjem jedno jajko, ale najpierw zdam pokrótce relacje z wydarzeń dnia.

Park leży po drugiej stronie kanału, między miastem i rzeką. Drogą lądową można do niego dotrzeć jedynie od północy. Ponieważ nie uśmiechała mi się tak długa wędrówka, wynająłem małą łódź o czerwonym, postrzępionym żaglu, aby zawiozła mnie na jego południowy kraniec, zwany Hains Point. Podobno w dawnych czasach znajdowała się tam fontanna, ale teraz nic już z niej nie zostało.

Trafiłiśmy na słoneczną, wiosenną pogodę i pokonywaliśmy żwawo fale bez nawet śladu potwornego kołysania, które tak dręczyło mnie na pokładzie „Księżniczki Fatimy”. Siedziałem na dziobie, obserwując pyszną zieleń parku po jednej stronie kanału i ruiny starego fortu po drugiej, podczas gdy podeszły wiekiem mężczyzna zajmował się sterowaniem, a jego pięknie opalona, mniej więcej jedenastoletnia wnuczka obsługiwała żagiel.

Kiedy minęliśmy już przylądek, mężczyzna oznajmił mi, że za niewiele większą opłatą może zawieźć mnie do Arlington, gdzie znajdują się ruiny największej budowli, jaka zachowała się z przeszłości. Podziękowałem mu, postanawiając odłożyć tę wyprawę na później. W chwili potem przybiliśmy do brzegu w miejscu, w którym fragment betonowego nabrzeża pozostał w niemal nienaruszonym stanie.

W prawo i w lewo prowadziły pozostałości starych dróg, ja jednak nie wybrałem żadnej z nich, kładąc się prosto przed siebie i w miarę możliwości w górę. Kiedyś, bez wątpienia cały ten teren służył wypoczynkowi i rozrywce, ale bardzo niewiele zachowało się z pawilonów i rzeźb, których niegdyś musiało tu być bez liku. Wszędzie dokoła widziałem niewielkie, płaskie pagórki, które kiedyś były zapewne ogródkami skalnymi, teraz pogrzebanymi pod warstwą ziemi oraz duże kałuże stojącej wody. W wielu miejscach dostrzegłem nory słynnych amerykańskich szczurów, chociaż nigdzie nie udało mi się zobaczyć samych zwierząt. Sądząc po średnicy otworów, opowieści o ich rozmiarach nie były w najmniejszym stopniu przesadzone. Do niektórych ja sam mógłbym z łatwością się zmieścić.

Dzikie psy, przed którymi ostrzegał mnie zarówno właściciel hotelu, jak i mój przewoźnik, pojawiły się po przejściu przeze mnie około kilometra. Mają one krótką sierść, najczęściej w czarne, brązowe i białe łaty. Wagę każdego z nich oceniałem na mniej więcej dwadzieścia pięć kilogramów. Dzięki swoim inteligentnym pyskom i sterczącym zabawnie uszom nie sprawiają wrażenia zbyt niebezpiecznych, ale wkrótce zauważyłem, że idą cały czas moim śladem, stopniowo zmniejszając odległość. Usiadłem na kamieniu, za plecami mając spory zbiornik wody i sporządziłem kilka ich szkiców, po czym zdecydowałem się użyć mego pistoletu. Najwyraźniej nie wiedziały, co to jest, dzięki czemu mogłem wymierzyć czerwony promień celowniczego lasera w sam środek szerokiej piersi największego osobnika, a następnie nacisnąłem spust, ustawiony na najsilniejszy impuls.

Długo jeszcze słyszałem ich żałosne wycie. Niewykluczone, że opłakiwały swego poległego przywódcę. Dwukrotnie natrafiłem na przerdzewiałe urządzenia, mogące przy tak dobrej pogodzie, jak dzisiaj, służyć niepełnosprawnym do odbywania przejażdżek po parku. Wuj Mirza zawsze mawia, że jestem

znakomitym kolorystą, ale mogłem tylko marzyć o tym, żeby oddać przesycone zielenią cienie, którymi słońce plamiło obficie całą okolice.

Nie spotkałem nikogo aż do chwili, kiedy dotarłem do nasypu starego, zrujnowanego mostu kolejowego. Zostałem tam otoczony przez czterech czy pięciu Amerykanów udających żebraków. Psy, które jak się domyślam, żywią się głównie resztkami wyrzuconymi przez wodę, wyglądały znacznie dostojniej, a przede wszystkim nie kryły swoich prawdziwych zamiarów. Gdyby ci ludzie przypominali nieszczęśliwe istoty, które spotykałem w Milczącym Mieście, rzuciłbym im kilka monet, oni jednak mieli mniej lub bardziej sprawne ciała i z pewnością mogli pracować, ale woleli trudnić się rozbojem. Powiedziałem im, że przed chwilą musiałem zabić ich rodaka (nie wspominając, że chodzi o psa), który mnie napadł i zapytałem, gdzie mogę zgłosić ten wypadek. Usłyszawszy to wycofali się i pozwolili mi w spokoju dokończyć spaceru, nie szczędząc mi jednak tysiąca wrogich spojrzeń. Powróciłem do hotelu bez żadnych przygód, zmęczony i bardzo zadowolony z wyprawy.

\*\*\*

Zjadłem jedno z jajek. Przyznaję, że niełatwo przyszło mi zmusić się do tego, żeby ugryźć pierwszy kęs, ale mój wewnętrzny opór przypominał szklaną ścianę - w pewnym momencie po prostu rozsypał się w pył. Jajko było przeraźliwie słodkie, lecz nie wyczułem nawet śladu żadnego innego smaku. Zobaczmy. Boje się znacznie bardziej niż w parku.

Nic się nie działo, więc poszedłem na kolację. Zapadający zmierzch podkreślał jeszcze bardziej karawajowy nastrój ulicy: kolorowe światełka przed wszystkimi sklepami i dochodząca z dachów muzyka, gdzie zamożniejsi tubylcy mieli prywatne ogrody. Do tej pory jadałem zwykle w hotelu, ale polecono mi „dobrą”, amerykańską restaurację, znajdującą się w niezbyt wielkiej odległości przy Maine Street.

Wyglądała dokładnie tak, jak mi ją opisano: goście siedzieli w niewielkich niszach na wyścielanych ławkach. Błaty stołów, wykonane z materiału przypominającego drobnoziarnisty, lekko porowaty sztuczny kamień, sprawiały wrażenie bardzo starych. Zamówiłem Zestaw Numer Jeden - żółtawą zupę rybną z ciastowatym, amerykańskim chlebem, a następnie dużą bułkę z mięsem i surowymi jarzynami, polaną obficie sosem pomidorowym. Szczerze mówiąc, niezbyt mi to smakowało, ale wydawało mi się, że powinienem skosztować więcej miejscowych potraw, niż do tej pory.

Odczuwam wielką pokusę, żeby w tym miejscu zakończyć opisywanie wydarzeń tego dnia, nawet odłożyłem już pióro, zakończywszy poprzednie zdanie i zacząłem szykować się do snu. Jednak jaki sens ma nieuczciwe prowadzenie pamiętnika? Nikomu tego nie pokaże, najwyżej sam będę czytał po powrocie do domu.

W drodze powrotnej do hotelu przechodziłem koło teatru. Myśl, żeby znowu zobaczyć Ellen była nie do opanowania. Kupiłem bilet i wszedłem do środka. Dopiero kiedy zająłem miejsce zorientowałem się, że zmieniono program.

Nowa sztuka nosiła tytuł „Mary Rose”. Widziałem ją przed kilkoma laty w znakomitym wykonaniu angielskiego zespołu teatralnego. Uderzyło mnie wówczas, iż podobnie jak jej bohaterka, przetrwała znacznie poza swoje czasy. Amerykańska inscenizacja była równie nieautentyczna, jak tamta doskonała. Dzięki temu - czy raczej: pomimo to - okazała się bardzo interesująca.

Amerykanie mają bzika na punkcie wewnętrznych rejonów swego kraju, więc wyspa Mary Rose została przeniesiona na jedno ze znajdujących się tam, wielkich jezior. Tym samym góral Cameron zmienił się w Kanadyjczyka, granego przez niedawnego doradcę generała Powersa. Speldingowie stali się Morelandami, a Morelandowie Amerykanami. Kretom był Harrym, rzucającym nożem, rannym żołnierzem, zaś moja Ellen wcieliła się w postać Mary Rose.

Rola ta tak do niej pasowała, iż zacząłem podejrzewać, że wybrano tę sztukę specjalnie dla niej. Jej wzrost podkreślał nadzwyczajną niedojrzałość postaci, a smukłość i delikatność bladej cery świadczyły dobitnie o tym, że wybrano ją na ofiarę bez jej wiedzy i zgody. Najważniejsza jednak była emanująca z niej aura niewinnej niesamowitości, którą potrafiła doskonale wykorzystać. Zrozumiałem, że właśnie dzięki temu mogliśmy poprzedniego wieczoru uwierzyć w to, że statek kosmiczny Kretona wylądował w ogródku Speldingów - Kreton pozostawał pod jej urokiem, chociaż nigdy jej nawet nie widział. Teraz pojawienia się i zniknięcia Mary Rose nosiły wszelkie znamiona wiarygodności. To, że pożądamy jej

tajemne moce było równie prawdopodobne jak to, że kocha ją porucznik Blake (poprzednio John Randolph).

Albo nawet bardziej. Kiedy to pojąłem, tajemnica „Mary Rose” (która po teherańskim przedstawieniu wydała mi się równie niewytłumaczalna, co banalna), ukazała mi się w całej pełni. Tymi złowieszczymi, zachłannymi duchami byliśmy my, siedzący na widowni. Jeżeli Morelandowie nie widzieli, że jedną ścianę ich wygodnego domu tworzy morze skrytych w cieniu twarzy, jeżeli Cameron nie dostrzegł, że unosimy się nad jego wyspą - cóż, sami sobie byli winni. Kiedy Mary Rose zniknęła, powinna znaleźć się wśród nas. Pod koniec drugiego aktu zacząłem się za nią rozglądać, by na początku trzeciego dostrzec ją, stojącą bez ruchu za ostatnim rzędem foteli. Siedziałem w czwartym rzędzie, ale mimo to możliwie niedostrzegalnie opuściłem swoje miejsce i zacząłem skradać się w jej kierunku przejściem między fotelami.

Spóźniłem się. Nim znalazłem się w połowie drogi, przyszła pora jej wejścia na scenę. Resztę sztuki oglądałem stojąc z tyłu sali, ale już nie wróciła.

\*\*\*

Tego samego wieczoru. Mam kłopoty z zaśnięciem, chociaż na statku spałem każdej nocy dziewięć godzin, zapadając w sen w chwili, kiedy moja głowa dotknęła poduszki.

Prawda wygląda w ten sposób, że leżąc już w łóżku przypomniałem sobie stwierdzenie starego kuratora, że wszystkie aktorki są prostytutkami. Jeśli to prawda, a nie tylko wybuch nienawiści przeciwko młodym ludziom, których ciała wciąż jeszcze są atrakcyjne, to bytem głupcem wdychając do myśli o Mary Rose i Ellen, podczas gdy mogłem mieć ją samą.

Nazywa się Ardis Dahl - sprawdziłem w programie. Mam zamiar pójść do właściciela hotelu i poprosić go o książkę adresową.

\*\*\*

Przed śniadaniem. Poszedłem tam o drugiej w nocy, ale biuro było zamknięte. Napałem ramieniem na drzwi i otworzyłem je bez większego kłopotu. (Zasuwa nie wchodziła w metalową obejmę, jak to jest u nas, tylko w płytkie wyżłobienie w drewnianej futrynie.) Nazwisko „Dahl” występowało wielokrotnie, ale ponieważ książka wydana była przed ośmiu laty, nie wiązałem z tym zbyt wielkich nadziei. Po chwili zastanowienia doszedłem jednak do wniosku, że tutaj ludzie nie przeprowadzają się chyba tak często, jak u nas i że gdyby książka była już bezużyteczna, właściciel chyba by jej nie trzymał w swoim biurze. Wybrałem adres, który wydawał się znajdować najbliżej hotelu i wyruszyłem w drogę.

Ulice były zupełnie puste. Przemknęła mi myśl, że robię dokładnie to, czego jeszcze niedawno za wszelką cenę starałem się unikać, mając w pamięci wynikające z lektur ostrzeżenia. Jednak absurdem było obawiać się spotkania z rabusiami - co mieliby robić o tej porze? Stać godzinami na skrzyżowaniach wymarłych ulic?

Wszystko było skąpane w łagodnym, białym świetle okrągłego księżyca wiszącego wysoko w południowej części nieba. Gdyby nie ostra, nieprzyjemna woń, tak charakterystyczna dla amerykańskich miast, mógłbym pomyśleć, że wędruje przez ilustrację do jakiejś starej książki z bajkami lub też że jestem aktorem w dziecięcej pantomimie, tak oczarowanym scenografią, że zapomniałem o istnieniu publiczności.

(Pisząc to - o czym, jeśli mam być szczery, wcale wtedy nie myślałem, a co przyszło mi do głowy dopiero teraz, kiedy siedzę przy stole - uświadomiłem sobie, że to właśnie musiało się stać z tą amerykańską dziewczyną, którą przyzwyczałem się już nazywać Ellen, a która naprawdę nazywała się Ardis. Nie potrafiłaby grać tak, jak grała, gdyby dla jakiegoś zakątka jej umysłu scena nie stała się rzeczywistością).

Kładące się u moich stóp cienie miały po sto lat, podążając wiernie tymi samymi drogami, które przemierzały już dawno temu, zanim na księżycowej twarzy pojawił się świecący szafir Nowego Tabriz. Pograżony w myślach o niej - o mojej Ellen, mojej Mary Rose, mojej Ardis! - brodząc w magicznym świetle, które rządzi ruchami oceanów, znalazłem się duchem w rejonach, o których opisanie nie staram się nawet pokusić.

A potem pojawiła się myśl, że wszystkie moje doznania mogą być jedynie efektem działania narkotyku.

Jak ktoś, kto wypadł ze szczytu wieży i w locie próbuje chwycić się powietrza, usiłowałem za wszelką cenę powrócić do rzeczywistości. Zaciśnąłem zęby na wewnętrznej powierzchni policzków, aż usta wypełniły mi się krwią i uderzyłem pięścią w nieczułą ścianę najbliższego budynku. Ból ocucił mnie. Co najmniej kwadrans stałem nad rynsztokiem, plując obficie krwią i próbując zabandażować sobie dłoń podartą na pasy chusteczką. Tysiąc razy wracała myśl, jaki przedstawiałbym sobą widok, gdyby rzeczywiście udało mi się zobaczyć Ellen. Pocieszałem się myślą, że jeśli naprawdę jest prostytutką, nie będzie to dla niej miało żadnego znaczenia. Kilka dodatkowych riali rozwiązałyby problem.

Jednak w gruncie rzeczy nie stanowiło to zbyt wielkiego pocieszenia. Nawet wtedy, gdy kobieta sprzedaje swe ciało, mężczyzna pochlebia sobie mówiąc, że nie uczyniłaby tego tak ochoczo, gdyby on nie był tym, kim jest. Plując krwią gratulowałem sobie silnej, męskiej twarzy, którą tak wielu ludzi podziwiała i zastanawiała się, jak ją będę przepraszał, jeśli podczas pocałunku pozostawię na jej ustach czerwone ślady.

Może tym, co przywróciło mi w pełni świadomość był jakiś ledwie słyszalny odgłos, a może uczucie, że jestem obserwowany. Wyciągnąłem pistolet i rozejrzałem się we wszystkie strony, ale nic nie zobaczyłem.

Mimo to niepokojące uczucie pozostało. Ruszyłem w dalszą drogę. Jeśli nawet odnosiłem jeszcze wrażenie jakiejś nierealności, to nie miało ono nic wspólnego z niedawnym uniesieniem. Po kilku krokach zatrzymałem się, nasłuchując. Suchy odgłos, jakby połączonego z drapaniem grzechotania, który mi towarzyszył, także umilkł.

Zbliżałem się do miejsca, którego adres wziąłem z książki. Przyznaje, że moje myśli były pełne fantazji, w których Ellen ratowała mnie z opresji, choć bała się bardziej ode mnie, lecz ryzykowała swą urodą, by mnie ocalić. Cały czas jednak zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że to jedynie fantazja, mój prześladowca zaś już nie, chociaż przemknęło mi i takie podejrzenie, że jest to jakiś zmaterializowany okruczeństwo moich podświadomych obaw.

Jeszcze jedna przecznica i byłem już u celu. Dom niczym nie różnił się od tych, które stały po obu stronach ulicy: zbudowany z pozostałości po jeszcze starszych budynkach, dwupiętrowy, o masywnych drzwiach i niemal bez okien. Na parterze, sądząc ze starego szyldu, znajdowała się księgarnia, nad nią zaś pomieszczenia mieszkalne. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, żeby mu się lepiej przyjrzeć i stanąłem, owładnięty znowu marzeniami, spoglądając na pojedynczą smugę żółtego światła, sączącą się zza zamkniętych okiennic szczytowego okna.

Narastało we mnie wrażenie, że ktoś mnie cały czas obserwuje. Mijał czas, przesypując się w klepsydrze wszechświata tak samo, jak zerodowana gleba tego kontynentu spływa wraz z jego rzekami do oceanu. Wreszcie strach i pożądanie - pożądanie do Ellen, strach przed śledzącymi mnie, niewidzialnymi oczami - zmusiły mnie do podejścia do drzwi domu. Zastukałem w nie ręką, którą trzymałem pistolet, choć zdawałem sobie sprawę, jak niewielkie mam szansę, żeby ktokolwiek otworzył mi o tej porze, ale jeszcze po kilku uderzeniach usłyszałem dobiegający ze środka odgłos powolnych kroków.

Drzwi zaskrzypiały, uchylając się na tyle, na ile pozwolił im założony łańcuch. Ujrzałem siwowłosego, całkowicie ubranego mężczyznę, trzymającego w dłoniach strzelbę o długiej lufie. Stojąca za nim kobieta uniosła wyżej dymiącą świecę, żeby mógł coś zobaczyć w ciemności. Chociaż była znacznie starsza od Ellen, a w dodatku dotknięta tak tutaj często spotykanymi deformacjami, to pewna szlachetność jej rysów, a także uroda przywiodły mi na myśl zwałony posąg, wznoszący się niegdyś na leżącej dalej na północ wyspie, a który widziałem na licznych ilustracjach.

Powiedziałem mężczyźnie, że jestem podróżnym (to akurat było zgodne z prawdą!) i że właśnie wysiadłem z łodzi w Arlington, ale nie mam gdzie się zatrzymać, i szedłem przez miasto aż tutaj, gdzie zobaczyłem palące się światło. Za nocleg i śniadanie jestem gotów zapłacić srebrnego riala (mówiąc to pokazałem im monetę). Chciałem dostać się do tego domu, żeby sprawdzić, czy Ellen rzeczywiście w nim mieszkała. Jeśli tak, to przedłużenie mego pobytu nie nastęczyłoby mi żadnych problemów. Kobieta próbowała szepnąć coś do ucha mężczyzny, ale ten, jeśli nie liczyć zniecierpliwionego grymasu, nie zwrócił na nią żadnej uwagi.

- Nie mogę wpuścić nikogo obcego - powiedział głosem, z którego można by wywnioskować, że byłem lwem, a trzymana przez niego strzelba płonąca obręczą. - Jestem w domu sam z żoną.

- Ach, tak - odparłem. - Rozumiem pana.

- Proszę spróbować w domu za rogiem, ale niech pan nie mówi, że przysyłają pana Dahlowie - powiedział, zamykając drzwi. Ostatnie słowo podkreślił głuchy odgłos opadającej antaby.

Odwrociłem się, a potem, dzięki łasce Allacha, który zaprawdę jest litościwy, zerknąłem jeszcze raz w górę na sączący się zza okiennic strumień światła. Moją uwagę zwróciło jakieś poruszenie jeszcze wyżej, chyba tylko dlatego, że światło zachodzącego księżyca padło na dachy pod innym, niż dotychczas, kątem. Sądzę, że czająca się tam istota miała zamiar skoczyć na mnie od tyłu, ale w momencie, kiedy spotkały się nasze oczy, rzuciła się od razu w moim kierunku. W ostatniej chwili przed uderzeniem zdołałem podnieść pistolet, a potem runąłem na popękany chodnik.

Musiałem na krótko stracić przytomność. Gdyby mój oddany instynktownie strzał nie okazał się celny, nie siedziałbym dzisiaj przy stole, pisząc ten pamiętnik. Po mniej więcej minucie doszedłem do siebie na tyle, żeby zrzucić z siebie ciało napastnika wstać i rozetrzeć obolałe miejsca. Nikt nie przyszedł mi z pomocą, ale i nikt nie wypadł z żadnego z sąsiednich domów, żeby mnie dobić i ograbić. Mając u stóp martwą istotę byłem równie sam jak wtedy, gdy zatrzymałem się, żeby popatrzeć w okno domu, z którego dachu na mnie skoczyła.

Odnalazszy pistolet i upewniwszy się, że działa, odciągnąłem ją w miejsce oświetlone blaskiem księżyca. W chwili, kiedy mignęła mi na dachu, wziąłem ją za dzikiego psa, takiego samego jak ten, którego zastrzeliłem w parku. Kiedy leżała martwa przede mną sądziłem, że jest człowiekiem. Teraz w świetle księżyca, przekonałem się, że nie była ani jednym, ani drugim, albo obydwoma naraz. Miała tępy pysk, zaś wysokość czoła, która według antropologów najlepiej określa zdolność myślenia i posługiwania się mową, była nie większa niż u makaka. Z kolei budowa dłoni, ramion i miednicy, a także kilka brudnych smat służących za ubranie zdawały się przemawiać za tym, że miałem jednak do czynienia z ludzką istotą. Była to samica, bowiem po obydwu stronach przedniej, spalonej części tułowia znajdowały się małe, płaskie piersi.

Przed mniej więcej dziesięcioma latami czytałem o czymś takim w „Tajemnicy zachodzącego słońca” Osmana Agi, lecz co innego czytać, a co innego znaleźć się w środku nocy na opustoszałej ulicy zrujnowanego miasta. Według relacji Osmana Agi (w którą, jak sądzę, nie wierzył nikt poza kilkoma starymi kobietami), istoty te były w rzeczywistości ludźmi, a przynajmniej ich potomkami. W ubiegłym stuleciu, kiedy cały kontynent dotknęła kleska głodu i w pełni ujawniły się nieodwracalne zmiany, wywołane uszkodzeniem struktury chromosomów, część z nich zaczęła jeść ludzkie mięso. Z całą pewnością na pierwszy ogień poszły ciała zmarłych z głodu, zaś ci, którzy je spożywali gratulowali sobie zapewne pomysłu, dzięki któremu unikali działania enzymów używanych jeszcze wówczas dla przyspieszenia rozwoju rzeźnych zwierząt. Nie zdawali sobie sprawy, że w ludzkich ciałach zdążyło nagromadzić się znacznie więcej szkodliwych substancji, niż można znaleźć w ciele krótko żyjących zwierząt. Według „Tajemnicy zachodzącego słońca” oni właśnie dali początek istotom takim jak ta, którą zabiłem.

Relacja Osmana Agi spotkała się z powszechnym niedowierzaniem. Z tego, co wiem, jest on popularnym pisarzem, o którym krąży opinia, że reklamuje nadkaspjskie miejscowości wypoczynkowe w zamian za darmowy w nich pobyt oraz bierze udział w bezsensownych wyprawach - na przykład wielbłądem po pustyni, albo na słońcu przez Alpy - po to tylko, żeby spłodzić kolejne książki i lepiej sprzedać te, które już napisał. Nie słyszałem, żeby ktoś oprócz niego donosił o podobnym odkryciu. Innym podróżnikom wystarczały w zupełności zrujnowane miasta, rojące się od szczurów i zarażonych wściekłą nietoperzy oraz szalejące w centralnej części kontynentu potworne burze pyłowe. Żałuje bardzo, że nie znalazłem jakiegoś sposobu, żeby odciąć głowę tajemniczej istoty, jestem bowiem pewien, że jej czaszka stanowiłaby dla naukowców bardzo cenną zdobycz.

\*\*\*

Już po napisaniu poprzedniego akapitu uświadomiłem sobie, że mogę jeszcze mieć szansę zrobić to, czego zaniedbałem w nocy. Poszedłem do kuchni i za niewielką cenę zdobyłem duży, ostry nóż, który ukryłem pod marynarką.



Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy szedłem pustymi ulicami i przez kilka minut miałem nadzieję, że ciało będzie leżało tam, gdzie je zostawiłem. Niestety, okazało się inaczej. Zwłoki jakby zapadły się pod ziemię. Nigdzie nie mogłem dostrzec ani kropli krwi, ani choćby śladu po moim strzale, który powinien pozostać na ścianie budynku. Zaglądałem w boczne uliczki i do pojemników na śmiecie. Nic. Wreszcie wróciłem do hotelu na śniadanie, a następnie poszedłem do pokoju, gdzie teraz (jest późny rano) układam plany na resztę dnia.

Znakomicie: nie udało mi się znaleźć Ellen wczoraj, musi mi się udać dzisiaj. Pójdę jeszcze raz na przedstawienie, ale nie zajmę swojego miejsca, tylko stanę za ostatnim rzędem siedzeń, gdzie ją ostatnio widziałem. Jeśli znowu zjawi się tam pod koniec drugiego aktu, powiem jej, jak bardzo podoba mi się na scenie i podaruję jej jakiś maty upominek. Jeżeli nie przyjdzie, wejdę za kulisy - moje dotychczasowe doświadczenia wskazują na to, że za ćwierć riała mógłbym dostać się wszędzie, gdzie bym tylko zapragnął, ale nawet gdyby przyszło mi wybić po drodze kilka zębów, z pewnością bym się przed tym nie zawahał.

\*\*\*

Jakimi niedorzecznymi istotami jesteśmy! Przeczytałem właśnie to, co napisałem dzisiaj rano; równie dobrze mógłbym pisać o filozoficznych spekulacjach podczas obrad Kongresu Ptaków, o życiu rodzinnym demonów z Domdadielu lub na jakikolwiek inny temat, o którym ani ja, ani ktokolwiek inny nie ma i nigdy nie będzie miał jakiegokolwiek pojęcia. O, Księgo, usłyszałaś już moje przewidywania na temat mających nastąpić wydarzeń. Pozwól mi teraz opowiedzieć, co się naprawdę zdarzyło.

Tak, jak zaplanowałem, wyszedłem na miasto, żeby kupić jakiś prezent dla Ellen. Idąc za radą właściciela hotelu skierowałem się na północ Maine Street, aż dotarłem do szerokiej alei, przebiegającej w pobliżu obelisku. Wokół podstawy tego wciąż jeszcze imponującego pomnika znajduje się działające bez przerwy targowisko. Za stragany służą kamienne bloki tworzące niegdyś górną część budowli. Jej pozostałości wznoszą się jeszcze na wysokość około stu metrów, ale mówi się, że dawniej była trzy lub nawet czterokrotnie większa. Znaczna część kamieni została rozkradziona i wykorzystana do budowy prywatnych domów.

Struktura cen w tym kraju zdaje się być pozbawiona jakiegokolwiek logiki, jeśli nie liczyć generalnej zasady, że żywność jest tania, natomiast wszystkie produkty pochodzące z importu - na przykład aparaty fotograficzne - są bardzo drogie. Podobnie tekstylia, co tłumaczy chyba, dlaczego tak wielu ludzi chodzi w łachmanach, starannie naprawianych i barwionych, żeby sprawiały wrażenie nowych. Cześć biżuterii jest dosyć tania, a cześć znacznie droższa, niż w Teheranie. Pierścienie wykonane ze srebra lub białego złota i ozdobione pojedynczym brylantem można kupić tak tanio, że nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie nabyć kilku jako lokaty kapitału. Jednocześnie jednak widziałem bransolety, za które u nas nikt nie dalby więcej, jak pół riała, wycenione niemal dziesięciokrotnie drożej. Znalazłem wiele interesujących antyków, których sprzedawcy twierdzili, że zostały wydobyte spod ruin miast leżących w głębi kontynentu za cenę jednego lub kilku istnień ludzkich. Po kilku takich rozmowach byłem bliski zrozumienia, jaka była przyczyna tak wielkiego wyludnienia tego kraju.

Po długim i przyjemnym, wypełnionym wieloma ciekawymi rozmowami chodzeniu, podczas którego wydałem bardzo niewiele, wybrałem wreszcie bransoletę wykonaną ze starych monet (w tym wielu srebrnych). Rozumowałem w ten sposób, że kobiety zawsze lubią biżuterie, takie zaś świecidełko może przydać się aktorce podczas pracy nad jakąś rolą, a poza tym nawet same monety mają jakąś konkretną wartość. Nie wiem, czy się jej spodoba, o ile oczywiście w ogóle kiedykolwiek ją otrzyma. Bransoleta ciągle jeszcze spoczywa w kieszeni mojej marynarki.

Kiedy rzucany przez obelisk cień wyraźnie się wydłużył, wróciłem do hotelu, gdzie zjadłem obfity obiad, składający się z jagnięcia i ryżu, po czym udałem się do pokoju, aby przygotować się do wieczoru. Na szafce stało pudełko z pozostałymi pięcioma jajkami. Przypomniałem sobie o moim postanowieniu i wziąłem jedno z nich. W tym samym momencie zawiadnęła mnie przekońska, że demon, którego zabiłem poprzedniej nocy był jedynie wywołaną działaniem narkotyku zjawą.

Czy możliwe, żebym strzelał do powietrza? Ta myśl wydała mi się najokropniejszą z możliwych i nadal mi się taką wydaje. Byłoby jednak znacznie gorzej, gdyby działanie tego środka uczyniło widzialną - tak, jak podobno kiedyś tego oczekiwano - realną, tyle tylko, że duchową istotę. Jeśli puste pokoje,

dachy i ulice są w istocie zaludnione takimi właśnie stworzeniami, to da się teraz wytłumaczyć wiele zagadkowych zgonów i wypadków, nagłe zmiany na gorsze, które czasem dostrzegamy w innych, a oni w nas, a także narodziny ludzi stanowiących uosobienie zła. Niedawno nazwałem to stworzenie złym duchem. Możliwe, że miałem całkowitą rację.

Jeżeli jednak narkotyk znajdował się w jajku, które zjadłem wczoraj, to to, które trzymałem teraz w rękę było zupełnie nieszkodliwe. Skoncentrowawszy się na tej myśli zmusiłem się do zjedzenia go, po czym położyłem się na łóżku, żeby czekać.

Zasnąłem na krótko i miałem sen. Pochylała się nade mną Ellen, głaszcząc mnie delikatną dłonią o długich palcach. Trwało to zaledwie chwile, ale wystarczyło, by obudzić we mnie wiarę w prorocze sny.

- Jeśli mimo wszystko narkotyk znalazł się w moim organizmie dopiero teraz, to ów sen stanowił jedyny dowód jego działania. Wstałem, umyłem się i zmieniłem ubranie, spryskując moją koszulę pamiorską wodą różaną, bardzo, jak zauważyłem, cenioną przez Amerykanów. Upewniwszy się, że maro przy sobie zarówno bilet, jak i pistolet, wyruszyłem do teatru.

Grano ciągle „Mary Rose”. Celowo wszedłem później na widownię (kiedy już od kilku minut trwała rozmowa między Harrym i panią Otery) i stanąłem za ostatnim rzędem foteli jakby uprzejmość nie pozwalała mi przeszkadzać innym w oglądaniu sztuki. Pani Otery zeszła ze sceny, a Harry wyciągnął swój nóż i ponownie nim rzucił, zaś kiedy ze sceny zniknęły mgły przeszłości, miejsce Harry'ego zajęli Moreland i pastor, gwarzący w towarzystwie robiącej na drutach pani Moreland. Wkrótce miała pojawić się Mary Rose. Moje nadzieje, że wyjdzie na widownię, żeby stąd oglądać początek przedstawienia, spełzyły na niczym. Nie pozostawało mi nic innego, jak czekać na koniec drugiego aktu.

Zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu wolnego miejsca, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że ktoś koło mnie stoi. W półmroku mogłem stwierdzić tylko tyle, że był raczej szczupły i o kilka centymetrów niższy ode mnie.

Nic nie znalazłszy cofnąłem się o krok lub dwa. Nieznajomy dotknął mego ramienia i zapytał szeptem, czy mógłbym zapalić mu papierosa. Zwróciłem już wcześniej uwagę, że tutaj palenie w teatrze było nie tylko dozwolone, ale wręcz powszechne, zaś ostatnio zawsze nosiłem zapalki, zważywszy na to, że jedyne oświetlenie mojego pokoju stanowiły świece. Blask płomienia wyłonił z ciemności wąskie oczy i wystające kości policzkowe Harry'ego, czy raczej Kretona, jak wolałem o nim myśleć. Nieco zaskoczony wymamrotałem jakąś niezgrabną uwagę na temat doskonałości jego gry aktorskiej.

- Podobało się panu? To mała rola - pojawia się na początku, żeby zacząć przedstawienie, a potem na końcu, żeby powiedzieć ludziom, że czas już iść do domu.

Kilka osób spośród publiczności zaczęło na nas groźnie zerkać, więc wycofaliśmy się do prowadzącego na widownię wejścia, teoretycznie przynajmniej należącego jeszcze do holu. Powiedziałem mu, że widziałem go także w „Wizycie na małej planecie”.

- O, to dopiero sztuka! Postać, którą gram, jest - jak z pewnością sam pan zauważył - jednocześnie dobra i zła, łagodna, złośliwa i diabelska.

- Według mnie znakomicie udało to się panu oddać.

- Dziękuję. Wie pan, ile jest ról w tym knocie, który pan ogląda?

- No, pan, pani Otery, Mr. Amy... -

- Nie, nie - powstrzymał mnie ruchem dłoni. - Mówię o rolach, które wymagają prawdziwego kunsztu aktorskiego. Jest tylko jedna: dziewczyna. Pojawia się na scenie jako osiemnastolatka, której mózg przestał się rozwijać, kiedy miała dziesięć lat. Do publiczności nie dociera sens połowy jej czynów, bo zanim zorientuje się, że coś z nią jest nie tak, akt już się prawie kończy.

- Ona jest wspaniała. Mówię o panie Dahl - dodałem. Kreton skinął głową i zaciągnął się dymem.

- Jest bardzo zdolną aktorką, chociaż byłoby lepiej, gdyby nie była tak wysoka. - Czy sądzi pan, że może tutaj przyjść, jak pan?

- Ach... - powiedział tylko i zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem. Przez chwile mógłbym przysiąc, że telepatyczne zdolności, którymi był obdarzony w „Wizycie na małej planecie” wcale nie są fikcją. Mimo to powtórzyłem pytanie:

- Nie ma powodu się denerwować... Nie, to raczej mało prawdopodobne. Czy to wystarczająca zapłata za pańską zapalkę?

- Ona znika pod koniec drugiego aktu i pojawia się na scenie dopiero przy końcu trzeciego. Kreton uśmiechnął się.

- Czytał pan tę sztukę?

- Widziałem ją wczoraj. Łącznie z przerwą ma prawie czterdzieści minut wolnego.

- Zgadza się. Ale nie przyjdzie tutaj. Czasem to robi - tak jak ja teraz - lecz tak się akurat składa, iż wiem, że dzisiaj nie jest sama.

- Czy mogę zapytać, z kim?

- Może pan. Niewykluczone, że mogę na to pytanie odpowiedzieć. Jest pan muzułmaninem, prawda?

Pije pan?

Nie jestem aż tak muzułmaninem, ale nie, nie pije. Chętnie jednak panu postawię, a sam zamówię kawę.

Wyszliśmy bocznymi drzwiami i przepchaliśmy się przez zalewający ulicę tłum. Wąskie, brudne schody zaprowadziły nas do usytuowanej w piwnicy tawerny, w której panowała atmosfera jak w prywatnym klubie. Nad barem wisiał poczemialy od dymu i kurzu obraz, przedstawiający scenę z jakiejś nieznaney mi sztuki, zaś w samym lokalu stały trzy stoliki oraz znajdowało się kilka przytulnych alkow. Wślizgnęliśmy się do jednej z nich i złożyliśmy zamówienie u barmana o zdeformowanej głowie. Chyba zbyt długo mu się przyglądałem, bowiem Kreton powiedział:

- Skręciłem nogę wychodząc z latającego spodka i dlatego teraz utykam. Czy dla niego również musimy coś takiego wymyśleć? Nie wystarczy po prostu stwierdzić, że garncarz bywa czasem w niedobrym nastroju?

- Garncarz?

*Nikt nic nie odpowiedział; dopiero Cisza rzekła*

*Słowy poskręcanyimi, sama niby z piekła:*

*Wszyscy się na mnie krzywią, bom nędznej postaci, Czasem mu ręka zadrży, gdy*

*Garncarz glinę kształci Potrząsnąłem głową.*

- Nigdy tego nie słyszałem, ale ma pan rację: wygląda tak, jakby jego głowę ulepiono z gliny, a następnie zrzuciono na ziemię, kiedy była jeszcze mokra.

- To państwo wstrząsającej brzydoty, jak z pewnością sam pan zauważył. Naszym godłem jest podobno wymarły orzeł, ale mnie się wydaje, że raczej jego upiór.

- Według mnie to bardzo piękny kraj - powiedziałem. - Choć muszę przyznać, że wielu ludzi wygląda dosyć niesamowicie. Ale są przecież ruiny i niebo, jakiego u nas nigdy nie możemy oglądać.

- W kominach naszych fabryk od dawna mieszka wiatr.

- I chyba wyszło wam to na dobre. Błękitne niebo jest znacznie lepsze od większości rzeczy, jakie produkuje się w fabrykach.

- I chyba nie wszyscy wyglądają aż tak niesamowicie - mruknął Kreton.

- Och, nie. Panna Dahl...

- Myślałem o sobie.

Zorientowałem się, że pokpiwa sobie ze mnie, ale nie dałem niczego po sobie poznać.

- Nie, nie jest pan szkaradny. Właściwie można nawet powiedzieć, że jest pan przystojny. Niestety, panna Dahl jest nieco bardziej w moim guście.

- Może pan mówić o niej Ardis, nie będzie miała nic przeciwko temu. Barman przyniósł Kretonowi szklankę z zielonym płynem, a mnie filiżankę słabej, gorzkiej, amerykańskiej kawy.

- Miał mi pan powiedzieć, kto jej teraz towarzyszy.

- Za kulisami - uzupełnił z uśmiechem Kreton. - Właśnie przyszło mi na myśl, że używałem tego wyrażenia setki razy, ale dopiero teraz nabiera ono prawdziwego sensu. Nie wydaje mi się, żebym coś panu obiecał. Powiedziałem tylko, że mogę to zrobić. Nie ma czegoś innego, co również chciałby pan

wiedzieć? Na przykład, jaki sekret kryje góra Rushmore, lub co musi pan zrobić, żeby osobiście się z nią spotkać?

- Dam panu za to dwadzieścia riali, pod warunkiem, że spotkanie przyniesie jakieś rezultaty, a pan zachowa to w ścisłej tajemnicy. Kretom roześmiał się.

- Proszę mi wierzyć, jest znacznie bardziej prawdopodobne, że chwaliłbym się na lewo i prawo moim zarobkiem, niż utrzymywał go w tajemnicy. Zaś co do tej gwarancji - żeby jej udzielić, musiałbym chyba podzielić się tymi pieniędzmi z Ardis.

- Wiec zrobi pan to?

Potrząsnął głową, ciągle się śmiejąc.

- Tylko udaje skorumpowanego, bo to pasuje do mojej twarzy. Proszę po przedstawieniu wejść za kulisy, a ja dopilnuję, żeby spotkał pan Ardis. Przypuszczam, że jest pan bardzo bogaty, a nawet jeśli nie, to nie musimy jej o tym informować. Co pan tutaj robi?

- Studiuję waszą sztukę i architekturę.

- W swoim kraju cieszy się pan zapewne znakomitą reputacją?

- Z całą pewnością można to powiedzieć o Akhonię Mirzy Ahmaku, którego jestem uczniem. Był tutaj ponad trzydzieści lat temu, żeby zbadać znajdujące się w waszej Galerii Narodowej miniatury.

- Uczeń Akhona Mirzy Ahmaka, uczeń Akhona Mirzy Ahmaka... - wymruczał do siebie Kretom. - To znakomicie brzmi, muszę sobie zapamiętać. Teraz jednak - zerknął na wiszący za barem stary zegar - pora już wracać. Muszę jeszcze poprawić charakteryzację. Zaczeka pan w teatrze, czy przyjdzie pan od tyłu? Mogę dać panu przepustkę.

- Zaczekam w teatrze - odpowiedziałem, ponieważ wydawało to mi się bezpieczniejsze, a poza tym chciałem jeszcze raz zobaczyć Ellen na scenie.

- Chodźmy wiec. Mam klucz od bocznego wejścia.

Wstaliśmy, a on objął mnie ramieniem. Domyśliłem się, że gdybym próbował wyzwolić się z tego uścisku, zostałoby to odebrane jako nieuprzejmość. Czujęm przez ubranie dotyk jego dłoni, zimnej niczym dłoń nieboszczyka, który przypominał mi w nieprzyjemny sposób powykęcane ręce żebraków z Milczącego Miasta.

Szliśmy w górę wąskimi schodami, kiedy pod moją marynarką poczułem delikatne dotknięcie. W pierwszej chwili pomyślałem, że dostrzegł zarys mojego pistoletu i teraz chce go dosięgnąć, żeby mnie zabić. Chwyciłem go za przegub i krzyknąłem coś - sam już nie pamiętam, co. Szamocząc się ze sobą runęliśmy ze schodów i wytoczyliśmy się na ulicę.

\*\*\*

Po kilku zaledwie sekundach stanowiliśmy centrum dużego zbiegowiska; cześć ludzi brała jego stronę, cześć moją, a większość po prostu zachęcała nas do walki lub dopytywała się, co się stało. Mój szkicownik, który Kretom wziął zapewne za portfel z pieniędzmi, wypadł mi z kieszeni na ziemię. Właśnie wtedy pojawiła się policja - nie w latających pojazdach, jak u nas, lecz na grzbietach kosmatych, niezgrabnych koni. Po kilku uderzeniach długich biczów tłum rozstał się, a oni dopadli Kretona i błyskawicznie powalili go na ziemię. Przyszło mi na myśl, jak straszną rzeczą jest być jednym z tych ludzi, których własna policja bez wahania bierze stronę zamożnie ubranego cudzoziemca.

Zapytali mnie, co się stało (jeden z nich dla okazania szacunku zsiadł nawet ze swego wierzchowca). Powiedziałem, że Kretom usiłował mnie ograbić, ale ja nie wnoszę przeciwko niemu żadnego oskarżenia. Widząc go leżącego bez przytomności z krwawą pręgą na policzku poczułem, jak ulatują resztki odrazy, jaką mógłbym do niego czuć. Powodowany litością chętnie dałbym mu nawet tych kilka riali, które miałem przy sobie. Odpowiedzieli mi, że skoro mnie napadł, musi stanąć przed sądem i że jeśli ja go nie oskarżę, to oni sami to zrobią.

Wyjaśniłem im wówczas, że Kretom jest moim przyjacielem i że zastanowiwszy się doszedłem do przekonania, iż rzekomy napad miał być niewinnym żartem (w uprawdopodobnieniu tego tłumaczenia przeszkadzała mi nieznamość jego prawdziwego imienia i nazwiska, które co prawda przeczytałem w programie, ale zaraz potem zapomniałem; cały czas mówiłem o nim „ten biedak”).

- Nie możemy zostawić go na ulicy - powiedział wreszcie policjant. - Jak to będzie wyglądało, jeżeli nie wpłynie żadna skarga?

Zrozumiałem wówczas, iż obawia się reakcji swoich przełożonych, kiedy ci dowiedzą się, że pobito do nieprzytomności człowieka, przeciwko któremu nikt nie wniósł żadnego oskarżenia, oraz że jeśli ja tego nie zrobię, to zarzuty, które oni mu przedstawią będą o wiele cięższe - kto wie, czy nawet nie o napad z bronią w rękę i usiłowanie morderstwa. Po namyśle podpisałem notatkę, w której dowódca patrolu stwierdzał próbę dokonania kradzieży mego szkicownika.

Kiedy wreszcie odjechali, wioząc nieszczęsnego Kretona przewieszzonego przez siodło, spróbowałem dostać się ponownie do teatru. Boczne drzwi były zamknięte, podobnie jak kasa, chociaż chętnie zapłaciłbym za jeszcze jeden bilet. Widząc, że nic nie zdziałam, wróciłem do hotelu, mówiąc sobie w duchu, iż na moje spotkanie z Ellen, jeżeli miało ono w ogóle kiedykolwiek nastąpić, będę musiał poczekać jeszcze jeden dzień.

Jakże słusznie powiada się, że ścieżki, którymi kroczymy, niemal zawsze prowadzą nas z powrotem w to samo miejsce. Zapisując tych kilka stron udało mi się ukryć moją radość, chociaż kiedy relacjonowałem chwilę oczekiwania na Ardis na zapleczu teatru, a następnie obietnice Kretona, że pomoże mi się z nią spotkać, musiałem na kilka minut odłożyć pióro, a sam chodziłem dokoła pokoju, śpiewając i pogwizdując, a nawet - żeby już niczego nie ukrywać - skacząc przez łóżka. Teraz jednak już nie mogę. Widziałem ją! Dotykałem jej ręki! Spotkam się z nią jutro i wszystko wskazuje na to, że zostanie moją kochanką!

Rozebrałem się i położyłem do łóżka (mając zamiar rano uzupełnić mój dziennik) i nawet zapadłem już w pierwszą drzemkę, kiedy obudziło mnie pukanie do drzwi. Założyłem szlafrok i otworzyłem zamek.

Była to jedyna, jak do tej pory, chwila w moim życiu, kiedy sądziłem, że śnie, chociaż w rzeczywistości byłem zupełnie przytomny

Jakże niewiele znaczą słowa, że naprawdę jest jeszcze piękniejsza, niż na scenie. To prawda, choć jednocześnie nie ma to żadnego znaczenia. Widziałem wiele piękniejszych kobiet - na przykład urodę Yasmin należałoby, według ogólnie przyjętych standardów, ocenić znacznie wyżej - ale to nie uroda Ardis tak bardzo mnie pociąga: złociste włosy, półprzezroczysta skóra ze śladami błękitnego makijażu, który na scenie miał ją upodobnić do ducha, czy błyszczące oczy, przypominające czyste niebo Ameryki. Jest jeszcze coś więcej, co zostanie nawet wtedy, gdyby to wszystko zniknęło. Bez wątplenia pewne jej maniery u kogoś innego bardzo by mnie raziły, podobnie jak próżność, stanowiąca podobno nieodłączną cechę jej zawodu, a mimo to uczyniłbym wszystko, żeby ją zdobyć.

Dość już. Jakież znaczenie może mieć próżna gadanina, kiedy oto tak niewiele dzieli mnie od celu? Stała we własnej osobie w drzwiach mojego pokoju. Zastanawiam się, jak mógłbym wyrazić uczucie, które mnie wówczas opanowało. Było to tak, jakby jakiś wybujały kwiat, na przykład lilia, opuścił ogród i przyszedł pod moje drzwi - coś, co nie zdarzyło się nigdy dotąd i nigdy już nie miało się powtórzyć.

- Czy pan jest Nadan Jaffarzadeh?

Odpowiedziałem twierdząco, a następnie, zacerwieniony niczym sztubak i o dwadzieścia sekund za późno, cofnąłem się, zapraszając ją do środka.

Weszła, ale zamiast usiąść na krześle, które jej podsunąłem, odwróciła się do mnie i zaczęła mi się przyglądać. Jej błękitne oczy, wypełnione malejącą z każdą chwilą nadzieją, wydawały się dorównywać wielkością marcepanowym jajkom.

- Wiec to pan jest tym człowiekiem, którego próbował dzisiaj obrabować Bobby O'Keene. Skinąłem głową.

- Znam pana. To znaczy, znam pańską twarz. To niesamowite. Był pan ze swoim ojcem na „Wizycie”, a potem na „Mary Rose” i siedział pan w trzecim lub czwartym rzędzie. Sądziłam, że jest pan Amerykaninem, a kiedy na policji powiedzieli mi pańskie nazwisko wyobraziłam sobie jakiegoś obrzydliwego grubasa. Dlaczego Bobby chciał okraść właśnie pana?

- Może potrzebował pieniędzy?

Odrzuciła w tył głowę i roześmiała się głośno. Słyszałem już ten śmiech w „Mary Rose”, kiedy Simon poprosił jej ojca o jej rękę, ale wówczas było w nim coś dziecinnego, co (choć pasowało do roli),

odbierało mu jednak cześć uroku. Ten śmiech kojarzył się z rozbawioną hurysą, zsuwającą się po łuku tęczy.

- Jestem tego pewna. On zawsze potrzebuje pieniędzy. Czy jest pan jednak pewien, że właśnie o pana mu chodziło? Czy na przykład nie...

Spojrzała w moją twarz i nie dokończyła pytania. Czułem się zawiedziony, nie mogąc spełnić jej oczekiwań.

- Jeżeli chcesz, Ardis, żebym się mylił - powiedziałem - to dobrze, myliłem się. On tylko potrafił mnie na schodach i próbował podnieść szkicownik, który mi wypadł z kieszeni. Uśmiechnęła się uśmiechem słońca świecącego nad klombami róż.

- Naprawdę zrobiłby pan to dla mnie? I zna pan moje imię?

- Z programu. Przyszedłem do teatru po to, żeby cię zobaczyć, a ten człowiek, który był ze mną, to nie mój ojciec, bo ten od dawna nie żyje, tylko stary Amerykanin, którego przypadkiem spotkałem.

- Przyniósł mu pan jedzenie podczas przerwy. Widziałam to przez dziurę w kurtynie. Musi pan być bardzo troskliwą osobą.

- Czy wszystkim przyglądasz się z taką uwagą?

Odkryła się rumieńcem i przez chwilę unikała mojego spojrzenia.

- Przebaczy pan Bobo'emu i powie policji, żeby go wypuścili? Z pewnością kocha pan teatr, panie Jef...Jaf...

- Zdążyłaś już zapomnieć moje nazwisko. Jaffarzadeh, bardzo popularne w mojej ojczyźnie.

- Nie zapomniałam go, tylko nie byłam pewna, jak się je wymawia. Idąc tutaj nauczyłam się go nie wiedząc, kim pan jest, i nie miałam z nim żadnych kłopotów. Teraz jest pan dla mnie rzeczywistą osobą i nie potrafię powtórzyć go tak, jak powinna to zrobić aktorka.

Chyba dopiero teraz zauważyła stojące za nią krzesło i usiadła.

Zająłem miejsce dokładnie naprzeciw niej.

- Obawiam się, że niewiele wiem o teatrze.

- Staramy się utrzymać go przy życiu, panie Jaffar, ale...

- Jaffarzadeh. Mów do mnie Nadan, nie będziesz musiała potykać się po drodze o tyle sylab. Wzięła moją dłoń w swoje, a ja wiedziałem doskonale, że był to dokładnie wystudiowany gest i że ona myślała, iż bawi się ze mną jak kot z myszką, ale mimo to ogarnęła mnie niewysłowiona rozkosz. Ona się ze mną bawi! O n a stara się, żeby mnie sobą zainteresować! Zaczekaj, mysz może się jeszcze okazać groźniejsza od kota!

- Dobrze, Nadan. Może i nie wiesz zbyt dużo o teatrze, ale czujesz jak ja, jak my, bo inaczej byś nie przyszedł. To była taka długa walka - cała historia teatru jest walką, walką o oddech pięknego dziecka, któremu zaraz po urodzeniu grozi śmierć. Moralści, cenzorzy, ucisk, technika, a teraz wreszcie nędza - wszyscy próbowali je zabić. Tylko my, aktorzy i publiczność, utrzymujemy je przy życiu. Tutaj, w Waszyngtonie, nawet się nam to udało.

- Istotnie - potwierdziłem. - Obydwie inscenizacje, które widziałem, były na bardzo dobrym poziomie.

- Ale to dopiero od dwóch sezonów. Kiedy przyszedłem do zespołu, znajdował się w przededniu rozpadu. Mnie, Bobby'emu i Paulowi udało się go ożywić. Udało się, gdyż bardzo się staraliśmy i ponieważ udało nam się znaleźć kilkoro naprawdę utalentowanych ludzi. Bobby jest z nas najlepszy. Potrafi poradzić sobie z każdą rolą, która wymaga groźnego, złowieszczonego ...

Zabrakło jej oddechu, więc wykorzystałem okazję, żeby się wtrącić.

- Nie sądzę, żebyśmy mieli mieć jakieś kłopoty z jego uwolnieniem.

- Dzięki Bogu. Powoli znowu stawiamy teatr na nogi. Interesuje się nami coraz więcej osób, a nawet udało nam się zdobyć stałą publiczność: ludzi, którzy przychodzą na każdą premierę. Zaczynamy przynosić pewien dochód. „Mary Rose” ma iść jeszcze przez dwa tygodnie, a potem robimy „Fausta” z Bobbym jako Mefistofeilesem. Nie mamy nikogo, kto mógłby go zastąpić.

- Jestem pewien, że go wypuszczą, kiedy o to poproszę.

- Muszą to zrobić. On m u s i być jutro wieczorem w teatrze. Bili - nie znasz go - próbował go dziś zastąpić w trzecim akcie. To było okropne. Słyszałam, że wy w Iranie jesteście bardzo uprzejmi.

- W każdym razie lubimy tak o sobie myśleć.

- My nie. Nigdy nie byliśmy, a teraz, kiedy ...

Nie dokończyła, ale machnięcie szczupłej dłoni było aż nazbyt wymowne - podrapana ściana stała się nagle przezroczysta, ukazując zniszczone miasto i zrujnowany kontynent.

- Rozumiem - skinąłem głową.

- Oni... My... Zostaliśmy zdradzeni. W głębi duszy nigdy nie byliśmy pewni, przez kogo. Jeśli czujemy się oszukiwani, jesteśmy gotowi zabijać, a czujemy się oszukiwani niemal cały czas.

Opadła głębiej na krzesło, a ja dopiero teraz uświadomiłem sobie, choć powinienem był znacznie wcześniej, jak bardzo musi być wyczerpana. Brała udział w przedstawieniu, które zakończyło się katastrofą, potem musiała błagać, żeby policja podała jej moje nazwisko i adres, a wreszcie przyszła tutaj na piechotę z posterunku. Zapytałem, kiedy będę mógł zacząć się starać o zwolnienie O'Keene'a.

- Jeśli chcesz, możemy tam pójść jutro rano.

- Czy ty też pójdziesz?

Kiwnęła głową, po czym wygładziła spódniczkę i wstała.

- Muszę wiedzieć, jak się to potoczy. Przyjdę po ciebie o dziewiątej, jeśli nie masz mi przeciwko temu.

- Gdybyś zaczekała, aż się przebiorę, mógłbym odprowadzić de do domu.

- Nie trzeba. -

- To zajmie tylko chwilkę.

Jej błękitne oczy spojrzały na mnie błagalnie.

- Wiem, co myślisz że wejdiesz ze mną do mojego domu. Masz tutaj dwa łóżka - większe i czystsze, niż moje. Czy odprowadzisz mnie później, gdybym teraz poprosiła cię, żebyś je zsunął? Czuję się tak, jakbym śnił sen, w którym spełniają się wszystkie moje marzenia.

- Nie musisz odchodzić - powiedziałem. - Możesz spędzić ze mną całą noc. Rano zjemy razem śniadanie i pójdziemy uwolnić twojego przyjaciela. Roześmiała się ponownie, przekrzywiając swoją kształtną głowę.

- Potrzebuje wielu rzeczy, które mam u siebie w domu. Sądzisz, że zeszląbym z tobą na śniadanie bez makijażu i w tym brudnym ubraniu?

- W takim razie odprowadzę cię, choćbyś nawet mieszkała na Górze Kaf.

- Ubieraj się wiec. Zaczekam na zewnątrz, a potem pokaże ci moje mieszkanie. Możliwe, że nie będziesz chciał więcej tam przychodzić.

Wyszła, stukając drewnianymi podeszwami swoich butów po nagiej podłodze, ja zaś zacząłem w niebываłym pośpiechu zakładać spodnie, koszule i marynarkę, by na końcu wskoczyć w buty. Kiedy otworzyłem drzwi, już jej nie było. Popędziłem do znajdującego się na końcu korytarza okna i zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak znika za zakrętem ulicy. Nocny wiatr zatargał jeszcze raz materiałem jej spódnicy, a potem wchłonęła ją aksamitna ciemność.

Przez dłuższy czas stałem bez ruchu, spoglądając na rozpadające się budynki. Nie byłem zły - chyba nie potrafiłbym się na nią złościć. Trudno mi to dokładnie określić, ale wydaje mi się, że odczuwałem coś w rodzaju zadowolenia. Nie dlatego, że obawiałem się miłosnych uścisków - jestem pewien, że mogę zadowolić każdą kobietę, która jest zdolna do współżycia z mężczyzną - lecz dlatego, że szybka i łatwa wymiana mojej chęci współdziałania w zamian za jej ciało nie zaspokoiłaby tkwiącego we mnie, romantycznego głodu przygody, w której miłość i niebezpieczeństwo splecione są z sobą niczym kopulujące węże. Moja Ardis, moja Ellen z pewnością była w stanie ten głód zaspokoić, czego nie mógłbym już powiedzieć ani o Yasmin, ani tym bardziej o jej załosnym sobowtórce. Czuję, że dla mnie świat rodzi się dopiero teraz, że ja się rodzę, że wąski korytarz to drogi rodne, zaś Ardis opuszczając mnie tym mocniej mnie do siebie pociągnęła.

Kiedy wróciłem do pokoju, na podłodze przed drzwiami zauważyłem jakiś skrawek papieru. Powtórzę teraz dokładnie to, co było na nim napisane, ale nie jestem w stanie oddać zapachu lilii, którym był przesączony.

*Jesteś nadzwyczaj atrakcyjnym mężczyzną i bardzo bym chciała powiedzieć ci, jak jest naprawdę, to znaczy, że możesz mnie mieć, kiedy Bobby znajdzie się na wolności, ale że ci się nie sprzedam, itd. W*

*rzeczywistości sprzedalabym ci się w zamian za Bobby'ego, ale mam już dzisiaj inne zobowiązania. Zobaczymy się rano i jeśli uda ci się wydostać Bobby'ego, lub na wet jeżeli będziesz się mocno starał, to z pewnością spotka cię nagroda w postaci (prawdziwej) miłości usychającej*

**Mary Rose**

Rano. Obudziłem się wcześniej i jak zwykle zjadłem śniadanie w hotelu, kończąc około ósmej. Dzięki temu dziennikowi mam się czym zająć, czekając na przyjście Ardis. Dzisiaj po raz pierwszy zaryzykowałem amerykańskie śniadanie: słodkie, chrupiące płatki z mlekiem, a do tego strudel i obowiązkowa kawa. Większość tubylców zamówiła szynkę w takiej czy innej postaci, ale tego raczej nie odważę się skosztować. Niektórzy jedli jednak najróżniejsze potrawy z jaj z dodatkiem ogrzanego w piecu chleba i chyba na to właśnie zdecydował się jutro rano.

W nocy miałem bardzo nieprzyjemny sen, o którym cały czas staram się zapomnieć. Było ciemno, a ja wraz z Ardis szedłem po jakimś terenie o wiele bardziej nierównym, niż widziałem to nawet w parku po drugiej stronie kanału. Ścigała nas, a raczej śledziła, istota podobna do tej, którą zastrzeliłem poprzedniej nocy - jej sylwetka pokazywała się na tle nocnego nieba to z naszej lewej, to znów z prawej strony. Za każdym razem Ardis chwytala mnie za ramię i szeptała, żebym strzelał, ale czerwone światelko w moim pistolecie świadczyło o tym, że ładunek jest już niemal wyczerpany. Głupi sen, niemniej jednak przy pierwszej okazji, jaka mi się nadarzy, kupię nowy magazynek.

\*\*\*

Jest późne popołudnie - minęła już szósta - a my jeszcze nie jedliśmy obiadu. Właśnie wyszedłem z wanny i siedzę przy stole, na którym obok tego zeszytu leży kolejne, marcepanowe jajko (jest chyba jeszcze bardziej różowe, niż ja w tej chwili). Mamy za sobą bardzo męczący dzień, więc przyszedłem tutaj, żeby się odświeżyć i przebrać. O siódmej mamy się spotkać na obiedzie. Kurtyna idzie w górę o ósmej, więc nie będziemy mieli zbyt wiele czasu, ale potem pójdę z nią do teatru, gdzie będę obserwował przedstawienie zza kulis, mając okazję porozmawiać z nią w przerwach między wyjściami na scenę.

Właśnie ugryzłem kawałek jajka - żadnego dodatkowego smaku, nic oprócz nieprzyjemnej słodyczy. Im dłużej o tym myślę, tym większego nabieram przekonania, że narkotyk musiał znajdować się w pierwszym jajku. Bez wątpienia potwór, którego ujrzałem, mieszkał w mojej podświadomości od chwili, kiedy przeczytałem książkę Osmana Agi, zaś narkotyk jedynie go ożywił. To prawda, na moim ubraniu znajdowały się plamy krwi, ale równie dobrze mogły pochodzić z policzka, który boli mnie zresztą do tej pory. Przeżyłem już to, co miałem przeżyć i pozostały mi tylko zwyczajne cukierki. Kusi mnie, żeby resztę po prostu wyrzucić. Jeszcze jeden kęs.

Mam jeszcze dwadzieścia minut do chwili, kiedy będę musiał zacząć się ubierać, żeby wyjść po Ardis. Pokazała mi, gdzie mieszka - zaledwie kilkanaście metrów od teatru. W takim razie, do pracy.

Rano Ardis nieco się spóźniła, niemniej jednak przyszła, tak jak obiecała. Kiedy dowiedziałem się, dokąd musimy się udać, żeby uwolnić Kretona - do wciąż jeszcze żyjącego budynku na wschodnich krańcach Milczącego Miasta - wynajęłem jeden z rozklekotanych powozów, żeby nas tam zawiózł. Podobnie jak wszystkie inne ciągnięty był przez zagłodzonego niemal na śmierć konia, ale i tak oszczędziliśmy sporo czasu.

Amerykańska policja jest zorganizowana według przedziwnego systemu. Najważniejsza jest ogólnonarodowa tajna policja (Federalne Oddziały Śledcze), która ma prawo kontrolować i zmieniać decyzje miejscowych władz, awansować i degradować ich funkcjonariuszy, a także wcielać ich w swoje szeregi. Oprócz tego ma ona także własne oddziały mundurowe, więc w razie aresztowania przyjaciele osoby, którą to spotkało najczęściej nie wiedzą, czy dokonali tego Federalne Oddziały Śledcze, miejscowa policja, czy też przebrani w mundury tajniacy z F.O.Ś.

Nic wcześniej nie wiedząc o tych podziałach nie miałem pojęcia, kto właściwie zatrzymał O'Keene'a, ale miejscowa policja, z którą Ardis rozmawiała poprzedniego dnia dała jej do zrozumienia, że znajduje się on w ich rękach. Wyjaśniła mi to wszystko podczas drogi, a potem powiedziała, że jedziemy do siedziby F.O.Ś., żeby załatwić jego zwolnienie. W tym momencie moja całkowita dezorientacja musiała jakoś odbić się na mojej twarzy, bowiem pospiesznie dodała:



- To także siedziba policji waszyngtońskiej. Po prostu wynajmują od tamtych część budynku.

Wrażenie, jakie po przybyciu na miejsce było takie, że wszystko tam tak się ma do rzeczywistości jak dekoracje w teatrze, zaś każda z osób, z którymi rozmawialiśmy należy do tajnej policji i stara się dziesięciokrotnie powiększyć własną ważność, odprawiając z namaszczeniem rytuał oszustwa i ogłupiania. Kiedy tak wędrowaliśmy z biura do biura, tłumacząc każdemu, dlaczego i po co przyszlismy, doszedłem do wniosku, że Ardis myśli podobnie jak ja i że nie podzieliła się ze mną w powozie tymi podejrzeniami nie tylko z obawy przed woźnicą lub przede mną, lecz dlatego, że wstydziła się za swój naród i pragnęła wpoić we mnie, cudzoziemca, przekonanie, iż jej rząd nie jest tak nieszczerzy i kłamliwy w swoich intencjach, jak to jest w istocie.

Jeżeli tak naprawdę było (a w ponurych, bezokiennych wnętrzach nabrałem takiego właśnie przekonania), to wyjaśnienia, których udzieliła mi w powozie, przeprowadzając ściśle określoną linię podziału między miejscową policją, umundurowanymi oddziałami F.O.S. i tajniakami, miały wartość dziecięcej opowieści, kryjąc prawdę znacznie mniej oczywistą i z pewnością bardziej zagmatwaną.

Wypytyjący nas ludzie byli w stosunku do mnie bardzo grzeczni (wobec Ardis już zdecydowanie mniej) i, jak mi się wydaje, opanowani przez obsesyjną myśl, że za tym nieskomplikowanym przecież incydem kryje się coś więcej. W końcu udało im się doprowadzić do tego, że ja sam niemal w to uwierzyłem. Nie mam czasu ani cierpliwości, żeby opisywać wszystkie te rozmowy, ale postaram się pokazać, jak wyglądała jedna z nich.

Weszliśmy do małego, pozbawionego okien biura, wciśniętego między dwa identyczne, w tej akurat chwili zupełnie puste. Za metalowym biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku. Wydawała się zupełnie normalna i nawet w pewnym sensie atrakcyjna, ale tylko do chwili, kiedy przemówiła - szkaradnie pokiereszowane dziąsła zdradziły, że kiedyś musiała mieć znacznie więcej zębów, niż to się normalnie spotyka - przypuszczam, że co najmniej czterdzieści lub pięćdziesiąt w każdej szczęce - oraz że dentysta, który usuwał te nadprogramowe nie w każdym przypadku wybierał akurat te, które wybrać powinien.

- Co słychać na zewnątrz? - zapytała. - Jaka pogoda? Rozumiecie, siedzę tu cały dzień i o niczym nie wiem.

- Jest bardzo ładnie - powiedziała Ardis.

- Podoba się panu tutaj, *Hadzi*? Przyjemnie się panu mieszka w naszym wielkim kraju?

- Od chwili, kiedy tu przybyłem, jeszcze ani razu nie padało. Zdaje się, że odebrała to jako ukryty zarzut.

- Obawiam się, że przyjechał pan już po porze najobfitszych deszczów. Ale to i tak bardzo żyzne tereny. Na niektórych z naszych najstarszych monet znajdują się kłosa zboża. Widział je pan? - Położyła na blacie biurka matą, miedzianą monetę, a ja udałem, że jej się dokładnie przyglądam. Jedna lub dwie tego rodzaju znajdują się w bransolecie, którą kupiłem dla Ardis i której nie miałem jeszcze okazji jej wręczyć.

- W imieniu władz muszę serdecznie pana przeprosić za to, co go tutaj spotkało - ciągnęła kobieta. - Dokładamy wszelkich starań w celu ograniczenia liczby przestępstw. Mam nadzieję, że wcześniej nie przydarzyło się panu nic w tym rodzaju?

Na pół uduszony pokręciłem przecząco głową.

- A teraz jest pan tutaj - przełożyła kilka kartek papieru, udając, że czyta coś z jednej z nich - żeby uzyskać zwolnienie dla złodzieja, który usiłował pana obrabować. Wspaniały przykład wielkoduszności. Czy mogę zapytać, dlaczego przyprowadził pan ze sobą tę młodą kobietę? Jej nazwisko nie zostało wymienione w żadnym z raportów, które mi dostarczono.

Wyjaśniłem, że Ardis pracuje z O'Keene'em i że to właśnie ona wstawiła się za nim.

- A wiec to pani, panno Dahl, jest najbardziej zainteresowana zwolnieniem aresztowanego. Czy to pani krewny?

I tak dalej, i tak dalej

Na zakończenie rozmowy dowiadywaliśmy się nieodmiennie, że albo ta sprawa nie mieściła się w kompetencjach osoby, która wypytywała nas przez ostatnie pół godziny, albo że musimy uzyskać najpierw zgodę kogoś innego, albo że trzeba złożyć jakiś specjalny formularz. Około drugiej po południu

skierowano nas do zakładu karnego na drugą stronę rzeki (która, według mojego przewodnika, należy do zupełnie innej jednostki administracyjnej). Tam kazano nam szukać Kretona wśród co najmniej pięciuset nieszczęsnych więźniów - nie muszę dodawać, że wszyscy cuchnęli i mieli wszy. Nie znalazłszy go, wróciliśmy do budynku F.O.Ś. na kolejną rundę nie kończących się rozmów. O piątej, kiedy kazano nam odejść, byliśmy już skrajnie wyczerpani, chociaż Ardis zdawała się być pełna zupełnie niezrozumiałej nadziei. Kiedy pożegnałem się z nią przed kilku minutami pod drzwiami jej domu, zapytałem, jak sobie dadzą dzisiaj rade bez Kretona.

- To znaczy, bez Harry'ego - poprawiła mnie z uśmiechem. - Cóż, najlepiej, jak tylko będziemy mogli. Teraz przynajmniej nie będzie to dla nas takim zaskoczeniem. Zobaczymy, jak im to się uda.

\*\*\*

Przynajmniej dziesięć razy brałem pióro do ręki, żeby zaraz położyć je z powrotem na stole. Wszystko przemawia za tym, że powinienem zniszczyć ten dziennik, zamiast go kontynuować, ale znalazłem kryjówkę, gdzie, mam nadzieję, będzie zupełnie bezpieczny.

Kiedy wieczorem wróciłem z mieszkania Ardis, znalazłem w pudełku tylko dwa jajka, a jestem pewien, że kiedy wychodziłem były jeszcze trzy. Jestem również pewien, że położyłem dziennik po lewej stronie szuflady, a nie po prawej, gdzie go zastałem.

Możliwe, że stało się tak za sprawą sprzątaczkę - mogła przecież uznać, że nie zauważę braku jednego cukierka, a notatnik przełożył przy wycieraniu kurzu, lub też zajrząwszy do niego przez ciekawość.

Ja jednak obawiam się czegoś znacznie gorszego. Wysłany tutaj agent mógł mieć aparat, którym sfotografował wszystkie strony mego dziennika, ale to wcale nie jest pewne - a już zupełnie bezpiecznie mogę założyć, że on sam nie potrafił czytać po persku. Przejrzałem notatki i usunąłem z nich wszystkie wzmianki dotyczące powodu, dla którego przybyłem do tego zakazanego kraju. Jutro przed wyjściem do miasta zastawie kilka pułapek (rozpięte włosy i poustawiane tu i ówdzie niewielkie przedmioty), które powiedzą mi, czy ktoś ponownie przeszukiwał pokój.

Teraz mogę spokojnie spisać wydarzenia tego zaiste nadzwyczajnego wieczoru. Spotkałem się z Ardis tak, jak się umówiliśmy, a ona zaprowadziła mnie do niewielkiej restauracji, usytuowanej w pobliżu jej mieszkania. Ledwie zdążyliśmy zająć miejsca, kiedy weszli dwaj mężczyźni:

Nie mogłem dostrzec twarzy żadnego z nich, ale odniosłem wrażenie, że jeden to Amerykanin, którego spotkałem na pokładzie „Księżniczki Fatimy”, a drugi to Golam Gassem, handlarz ziarnem, którego tak starannie tam unikałem. Uważałem i nadal uważam, że moja boska Ardis nigdy nie może być inna, jak tylko piękna, ale wtedy udało jej się niemal osiągnąć coś wręcz przeciwnego: krew odpłynęła jej z twarzy, usta rozchyliły się bezwiednie i przez chwile wyglądała niczym uroczy nieboszczyk. Chciałem zapytać, co się stało, lecz zanim zdołałem wykrztusić choćby słowo, dotknęła ostrzegawczo moich ust, a następnie, odzyskawszy częściowo spokój, powiedziała:

- Nie widzieli nas. Wychodzimy. Zachowuj się tak, jakbyśmy właśnie skończyli. Wstała, udając, że wyciera usta chusteczką, dzięki czemu zdołała ukryć niemal połowę twarzy i wyszła na ulicę.

Uczyniłem to samo i znalazłem ją nie dalej niż kilka kroków od wejścia do restauracji, zanoszącą się od śmiechu. Zmiana w jej zachowaniu była tak zdumiewająca, jakby właśnie zdjęto z niej jakiś urok.

- To takie zabawne - powiedziała - chociaż przed chwilą wcale takie nie było. Lepiej stąd pójdźmy - Zjemy coś po przedstawieniu.

Zapytałem ją, kim są ci mężczyźni.

- To przyjaciele - odparła, ciągle się śmiejąc.

-Jeśli są twoimi przyjaciółmi, to dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, że cię nie zobaczyli? Bałaś się, że możemy się przez nich spóźnić?

Wiedziałem, że tak trywialne wytłumaczenie nie może być zgodne z prawdą, ale chciałem dać jej możliwość udzielenia wymijającej odpowiedzi, jeżeli nie chciała zdradzić mi prawdziwej. Potrząsnęła głową.

- Nie, nie. Po prostu nie chciałam, żeby którykolwiek z nich pomyślał, że mu nie ufam. Wyjaśnię ci to później, jeśli będziesz chciał wziąć udział w naszej małej szaradzie.

- Z całego serca.

Na te słowa uśmiechnęła się swoim słonecznym uśmiechem, dla którego gotów byłbym wejść do jaskini lwa. Po chwili znaleźliśmy się przed tylnym wejściem do teatru i nie było już czasu, żeby dalej prowadzić te rozmowę. Kiedy Ardis otworzyła drzwi, usłyszeliśmy Kretona sprzeczącego się z kobietą, która, jak się później dowiedziałem, pełniła funkcję garderobianej.

- A więc jest pan wolny - powiedziałem. Odwrócił się w moją stronę.

- Tak, i to zdaje się, że dzięki panu. Bardzo za to dziękuję.

Ardis patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był dzieckiem, które cudem uniknęło utonięcia.

- Biedny Bobby. Bardzo to przeżyłeś?

- Bałem się, i to wszystko. Bałem się, że już nigdy stamtąd nie wyjdę. Wiesz, że Terry zniknął? - Jak to? - zapytała, ale ja byłem pewien (przysięgam, że nie przesadzam ani nie koloryzuję, choć przyznaje, że popełniłem ten grzech w kilku innych punktach mojej relacji), że doskonale o tym wiedziała.

- Po prostu nie ma go i już, Paul biega jak szalony. Słyszałem, że wczoraj trochę: wam mnie brakowało?

- Boże, i to jak! - wykrzyknęła Ardis i pobiegła zbyt szybko, żebym mógł pójść za nią. Kreton wziął mnie za ramię. Spodziewałem się, że będzie chciał przeprosić mnie za wczorajszą próbę kradzieży, ale on zamiast tego powiedział:

- Widzę, że jednak udało się panu z nią spotkać.

- To ona namówiła mnie, żebym wycofał oskarżenie.

- Ile pan mi dawał? Dwadzieścia riali? Mam do nich moralne prawo, ale z niego nie skorzystam. Proszę odwiedzić mnie, kiedy będzie pan gotów na coś bardziej ekstra, a tymczasem, jak ona się panu podoba?

- Mogę to powiedzieć jej, ale nie panu.

W tej samej chwili pojawiła się Ardis, prowadząc ze sobą łysiejącego, wąsatego mężczyznę o ciemnej skórze.

- Paul, to jest Nadan. Jego angielski jest bez zarzutu - nie tak brytyjski, jak u większości z nich. Chyba się nadaje, nie uważasz?

- Musi się nadać. Jesteś pewna, że się zgodzi?

- Będzie zachwycony - stwierdziła z przekonaniem Ardis i ponownie zniknęła. Wyglądało na to, że Terry był aktorem, który grał rolę Simona, kochanka i męża Mary Rose, ja zaś -choć moim szczytowym osiągnięciem do tej pory był występ w szkolnym przedstawieniu - miałem go zastąpić. Do podniesienia kurtyny pozostało jeszcze około pół godziny, miałem więc pięćdziesiąt minut, na nauczenie się roli przed moim wejściem pod koniec pierwszego aktu.

Paul, reżyser spektaklu, ostrzegł mnie, że występując pod swoim nazwiskiem spotkałbym się z wrogością publiczności, tym bardziej iż odtwarzana przeze mnie postać miała być Amerykaninem, więc wszyscy doszukiwaliby się błędów nawet tam, gdzie ich nie było. Wkrótce potem, kiedy pośpiesznie uczyłem się tekstu, usłyszałem jego głos:

- W roli Simona Blake'a wystąpi Ned Jefferson.

Najtrudniejszym momentem w całym przedsięwzięciu okazało się pierwsze wyjście na scenę. Na moje szczęście grałem nerwowego młodzieńca, który przychodzi prosić o rękę ukochanej, dzięki czemu mój nerwowy śmiech i jękanie były prawie na miejscu.

Druga scena - z Mary Rose i Cameronem na czarodziejskiej wyspie - powinna była okazać się znacznie trudniejsza od pierwszej. Na nauczenie się tekstu miałem zaledwie krótką przerwę, zaś sama gra wymagała raczej lęklivego pesymizmu, niż zwyczajnej nerwowości. Na szczęście wszystkie kwestie były dosyć krótkie, zaś Paul zdążył powypisywać je na wielkich arkuszach papieru, które na z kierownikiem sceny pokazywali mi zza kulis. W kilku miejscach musiałem jednak improwizować, lecz

choć zastąpiłem słowa autora moimi, to ani na chwile nie straciłem wycucia akcji i zawsze potrafiłem powiedzieć coś, do czego Ardis i Cameron mogli dostosować brzmienie swoich kwestii.

W porównaniu z pierwszym i drugim aktem, moje krótkie pojawienie się w trzecim można uznać wręcz za wypoczynek. Mimo to nigdy chyba nie byłem tak wyczerpany jak dziś późnym wieczorem. Kiedy światła przygasły, Ardis rozpoczęła swą ostateczną rozmowę z Kretonem, a Cameron i ja mogliśmy wreszcie niepostrzeżenie zejść ze sceny.

Musieliśmy pozostać w kostiumach aż do pożegnalnych ukłonów, więc była już prawie północ, kiedy wreszcie mogliśmy z Ardis zjeść coś w tym samym niewielkim, brudnym barze, w którym Kreton chciał mnie obrabować. Zapytała mnie, czy spodobał mi się zawód aktora, a ja mogłem odpowiedzieć jedynie skinieniem głowy.

- Tak myślałam, że ci się spodoba. Wydaje mi się, że pod przykrywką tej niewzruszonej solidności kryje się nadzwyczaj dramatyczna osobowość.

Przyznałem jej racje i spróbowałem wyjaśnić, dlaczego to, co nazywam romantyzmem życia jest według mnie tak nadzwyczaj cenne. Nie rozumiała mnie, więc ograniczyłem się do uwagi, że zostałem wychowany na tekście „Shah Namah”, o którym, jak się okazało, słyszała po raz pierwszy w życiu.

Poszliśmy do jej mieszkania. Byłem zdecydowany w razie konieczności wziąć ją nawet siłą. Nie dlatego, żeby sprawiało mi to dodatkową przyjemność, ale po to, by nie pomyślała, że jej nie Kocham, co by mogło łatwo nastąpić, gdybym pozwolił jej odepchnąć się po raz drugi. Oprowadziła mnie po wnętrzu (dwa małe, zabałaganione pokoje), a potem, kiedy już opuściliśmy potężną antabę, stanowiącą nieodłączny element wyposażenia każdego amerykańskiego mieszkania, objęła mnie ramionami. Jej oddech pachniał arakiem, który piła przed kilkoma minutami. Z całą pewnością ów zapach będzie już do końca moich dni przypominał mi o tym wieczorze.

Kiedy się od siebie oderwaliśmy, zacząłem rozwiązywać tasemki przy jej bluzce, a ona natychmiast zgasła świece. Błagałem, żeby tego nie robiła, bowiem pozbawia mnie w ten sposób połowy rozkoszy, ale ona nie chciała ustąpić, więc nasze pieszczoty i uściski odbywały się w całkowitej ciemności. Znajdowałem się w ekstazie. Gdybym ją widział, chyba bym oślepl, lecz już nic nie było w stanie zwiększyć odczuwanej przeze mnie rozkoszy.

Gdy rozdzieliliśmy się po raz ostatni, obydwoje krańcowo wyczerpani, Ardis poszła się umyć, a ja zacząłem szukać zapalek - najpierw w szufladzie chwiejącej się nocnej szafki, a potem w moim ubraniu, które leżało w nieładzie na podłodze. Udało mi się wreszcie je znaleźć, ale nie byłem w stanie odszukać świecey. Przypuszczam, że Ardis gdzieś ją schowała. Kiedy wróciła, zapaliłem zapalną, lecz ona miała już na sobie peniuar.

- Czyż nigdy cię nie zobaczę? - zapytałem.

- Zobaczysz mnie jutro. Weźmiesz mnie na przejażdżkę łódką i urządzimy sobie piknik nad wodą, pod czereśniami. W teatrze zaczyna się przerwa świąteczna, więc będziemy mogli pójść potańczyć. Teraz jednak pójdziesz już do domu, a ja do łóżka, spać.

Gdy byłem ubrany i stałem już w drzwiach zapytałem, czy mnie Kocha, ale zamknęła mi usta pocałunkiem.

\*\*\*

Napisałem już o reszcie - o dwóch jajkach i poruszonym dzienniku - więc nie będę się powtarzał. Przeczytałem jednak jeszcze raz wszystko to, co właśnie napisałem i doszedłem do wniosku, że jedno zdanie powinno być znacznie wyraźniej podkreślone: to, że podczas przedstawienia ani na moment nie straciłem wycucia a akcji.

Nie wiem, jaki sekret pogrzebali starożytni Amerykanie pod swą rzeźbioną górą, ale wierze, że jeśli jest to jakiś klucz do ludzkiego życia, to musi być właśnie z nim związany. Jestem pewien, że każdy wielki człowiek, świadomie lub nie, to jednak w taki lub inny sposób ów sekret posiadał; w grze, którą jest życie, możemy przy jego pomocy zmieniać i ukierunkowywać przebieg akcji.

Tak właśnie czynię teraz. Jeżeli nawet znikniecie marcepanowego jajka nie ma żadnego znaczenia, to ja mu to znaczenie nadaje (zrobiłem to już wcześniej, kiedy nasączyłem jedno z nich narkotykiem). Jeżeli nawet gra, w której bierze udział Ardis wraz z Golamem Gassemem i Mr. Tallmanem (jeśli to naprawdę byli oni), nie nosi znamion tajemniczości i zagrożenia, to będzie, ponieważ taka jest moja

wola. Jeżeli nawet nasza miłość nie jest wielką miłością, która ma żyć wiecznie w młodych sercach i ustach poetów, to stanie się taką, gdyż ja tego chce.

\*\*\*

Znowu tu jestem. Szczerze mówiąc zaczynam się zastanawiać, czy nie pisze tego dziennika tylko po to, żeby go zaraz potem czytać. Jeszcze żaden człowiek nie był tak szczęśliwy, jak ja jestem teraz - do tego stopnia, że odczuwałem pokusę, aby pozostawić nietknięte dwa ostatnie jajka. Co będzie, jeśli narkotyk zamiast halucynacji, samouświadomienia i euforii przyniesie mi nieodwracalne, przepelnione rozpazą szaleństwo? Mimo to zjadłem jedno z nich, przetykając mdłą słodycz tak szybko, jak tylko potrafiłem. Wole zaryzykować nieznaną, niż uważać się za tchórza. Ze spokojem oczekuje na rezultat.

Prawda wygląda w ten sposób, że jestem zbyt szczęśliwy, by w dalszym ciągu odczuwać tę faustowską determinację, która opanowała mnie ostatniej nocy. (Jakże dziwnie się składa, że właśnie „Faust” będzie kolejną sztuką wystawianą przez teatr. Kreton ma grać Mefistofelesa - zdradziła mi to Ardis, a zresztą i tak było to oczywiste. Ona będzie Małgorzatą, ale kto wcieli się w postać samego Doktora?). Teraz jednak, kiedy zniknęła zaciskająca zęby determinacja, wiem, że zrealizuje mój plan pewniej i dokładniej, niż kiedykolwiek, z łatwością wirtuoza, który wykonuje od niechcenia prosty utwór, chociaż jego myśli zajęte są zupełnie innymi sprawami. Spoglądając na rozciągające się dokoła ruiny zacząłem znowu zastanawiać się nad losem, jaki był udziałem dawnych Amerykanów. Jak często ci, którzy wybierali swoich przywódców ze względu na ich nadnaturalną siłę, mądrość i przezorność sami czuli się tak zmęczeni, jak ja ostatniej nocy?

Miałem zamiar kupić kosz smakołyków i udać się po Ardis około pierwszej, ale ona uprzedziła mnie, zjawiając się o jedenastej z już przygotowanym prowiantem. Szliśmy na północ wzdłuż kanału, aż dotarliśmy do ruin starego mauzoleum i położonego w pobliżu, niemal dokładnie okrągłego, sztucznego jeziora, zwanego przez Amerykanów Basenem. Rosną wokół niego obsypane kwiatami drzewa, co prawda stare i poskręcane, ale bardzo piękne w swoich białych strojach. Za niewielką opłatą dostaliśmy we władanie jaskrawoniebieską łódkę o żaglu dwu lub trzykrotnie większym od mojej chusteczki, w której wypłynęliśmy na spokojną wodę jeziora.

Kiedy znaleźliśmy się w sporej odległości od brzegu, Ardis zapytała mnie niespodziewanie, czy cały mój pobyt w ich kraju mam zamiar spędzić tu, w Waszyngtonie.

Powiedziałem, że początkowo miałem zamiar zostać tu nie dłużej jak tydzień, potem zaś wyruszyć w górę wybrzeża, do Filadelfii i innych starożytnych miast, ale teraz, kiedy ją poznałem, chętnie zostałbym na zawsze, gdyby tylko zechciała się na to zgodzić.

- Nigdy nie chciałeś zobaczyć wnętrza kontynentu? Ten skrawek plaży, na którym żyjemy jest utrzymywany przy życiu przez ocean i handel, który się tutaj odbywa. Sto mil w głębi ładu znajdują się wszystkie pozostałości naszej cywilizacji, czekające, aż ktoś się nimi zainteresuje.

- Czemu więc nikt tego nie robi?

- Och, robią to, robią. Nie ma roku, żeby ktoś nie znalazł czegoś niezwykle cennego, ale to taki wielki teren... - Jej wzrok zdawał się sięgać daleko poza brzeg jeziora i obsypane kwiatami drzewa. - Tak wielki, że czasem giną całe miasta. U wjazdu do St. Louis stał kiedyś łuk ze szczerego złota - teraz nikt nie wie, co się z nim stało. Denver, Miasto O Milowych Domach, stało na kopalniach srebra, ale nikomu nie udało się ich odnaleźć.

- Z pewnością zachowało się wiele starych map.

Ardis skinęła powoli głową. Czuję, że chciała powiedzieć więcej, niż uczyniła. Przez kilka sekund panowała cisza, w której słychać było jedynie plusk wody, uderzającej o burty naszej łodzi.

- Pamiętam, że widziałem kilka w muzeum w Teheranie. Nie tylko nasze mapy, ale i wasze, sprzed stu i więcej lat.

- Wiele rzek zmieniło koryta - powiedziała. - A jeśli nawet płyną tak jak dawniej, to nikt nie może być tego pewien.

- Cześć budynków z pewnością dalej stoi na miejscu, choćby tak jak tutaj, w Milczącym Mieście.

- Zostały zbudowane z kamienia, najsolidniej, jak tylko było możliwe. Ale tak, masz rację - niektóre ciągle jeszcze stoją.

- Można więc tam polecieć, wylądować gdzieś w pobliżu i dokładnie je przeszukać.

- Istnieje wiele niebezpieczeństw, a poza tym gruzów jest tak dużo, że można szukać całe życie i nawet porządnie nie zadrapać powierzchni.

Zorientowałem się, że robi się coraz bardziej smutna, więc spróbowałem zmienić temat.

- Powiedziałaś, zdaje się, że możemy dzisiaj pójść na przyjęcie? Może mi coś o tym powiesz?

- Nadan, musze komuś zaufać. Nigdy nie widziałeś mojego ojca, choć mieszka w pobliżu hotelu i prowadzi sklep ze starymi książkami i mapami. - (A więc jednak niemal trafiłem do właściwego domu!) - Kiedy był młodszy, marzył o wyprawie w głąb kontynentu. Zorganizował kilka wypadów, lecz nigdy nie dotarł dalej niż do podnóża Apallachów, a potem poślubił moją matkę i bał się już podjąć ryzyko...

- Rozumiem.

- Zaczął handlować tym, co miało zaprowadzić go do bogactw przeszłości. Jeszcze teraz ludzie noszą mu różne stare papiery, a on kupuje je i później sprzedaje. Wielu z nich prawie nie różni się od tych, którzy rozkopują cmentarze w poszukiwaniu ślubnych obrączek dawno zmarłych kobiet.

Przypomniałem sobie biżuterię, którą kupiłem pod zwałonym obeliskiem i zadrzałem, ale Ardis chyba tego nie zauważyła.

- Tak, niektórzy wcale nie są lepsi od hien cmentarnych, a część jest nawet gorsza. W głębi kontynentu mieszkają ludzie, którzy już wcale nie są ludźmi. Nasze ciała - wszystkie, co do jednego - noszą w sobie truciznę. Wiedziałaś o tym, prawda? Tamci się przystosowali (tak zawsze mówił ojciec), ale przestali być ludźmi. Dawno temu udało mu się nawiązać z nimi pokojowe stosunki i handluje z nimi do dzisiaj.

- Nie musisz mi tego opowiadać.

- Musze. Czy wyruszylibyś w głąb ładu, gdybym poszła z tobą? Gdyby dowiedziały się o tym władze, próbowałyby nas zatrzymać i skonfiskowałyby wszystko, co byśmy znaleźli.

Zapewniłem ją na wszystkie świętości, jakie tylko przychodziły mi na myśl, że mając ją u boku przeszedłbym cały kontynent na piechotę, gdyby tylko zaszła taka potrzeba.

- Powiedziałaś ci, że mój ojciec sprzedaje mapy i książki, które mu przynoszą. Nie powiedziałam ci, że najpierw je czyta. Widzisz, w głębi serca on nigdy nie zrezygnował ze swoich planów.

- Czyżby dokonał jakiegoś odkrycia? - zapytałem.

- I to nie jednego. Bobby i ja często je wykorzystywaliśmy. Pamiętasz tych ludzi z restauracji? Bobby poszedł do każdego z nich z mapą i kilkoma starymi listami, i namówił do sfinansowania ekspedycji, sugerując, że z naszą pomocą uda mu się oszukać partnera. W ten sposób zabezpieczamy się przed jakimiś kombinacjami z ich strony.

- A ty chcesz, żebyś się do was przyłączył? - Nie posiadałem się z radości.

- Wcale nie mieliśmy zamiaru wyruszać. Bobby chciał zabrać pieniądze i uciec ze mną do Bagdadu lub Marakeszu. Ale... - nachyliła się do mnie i położyła swoje dłonie na moich -... musisz wiedzieć, że w tym naprawdę kryje się jakaś tajemnica. To znaczy, niejedna, ale ta jest znacznie bardziej obiecująca i prawdopodobna od pozostałych. Wiem, że postąpisz ze mną uczciwie. Podzielimy się, a potem wrócę z tobą do Teheranu.

Wiem, że nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak wtedy, w tej śmiesznej łódce. Siedzieliśmy obydwoje na rufie w cieniu miniaturowego żagla, o mało jej nie zatapiając, wymienialiśmy pocałunki i pieściliśmy się tak namiętnie, że za to samo w Iranie dawno już znaleźlibyśmy się pod pręgierzem.

Wreszcie, kiedy nie mogłem już znieść więcej nieskonsumowanej miłości, zjedliśmy przyniesione przez Ardis kanapki, popijając je ciepłym, owocowym napojem i wróciliśmy na brzeg.

Kiedy przed kilkunastoma minutami znaleźliśmy się przed jej domem namawiałem ją gorąco, żeby pozwoliła mi pójść ze sobą na górę. Szalałem z pożądania, pragnąłem wbić w nią moje ciało i rozlać się w niej niczym jakiś szalony bóg, który przed przyjściem Proroka wylewał do oceanu swoją złotą krew. Nie zgodziła się - przypuszczam, iż dlatego, że w jej mieszkaniu nie można uzyskać takiej ciemności, która zadowoliłaby jej skromność. Mimo to postanowiłem, że ją wreszcie zobaczę.

Wykapałem się i ogoliłem, żeby być gotowym na przyjęcie, a ponieważ mam jeszcze sporo czasu,

opiszę niezwykłą procesję, jaką mineliśmy w drodze powrotnej z jeziora. Jak widzicie, wciąż jeszcze traktuję te zapiski jako dziennik podróży.

Bardzo stary człowiek - przypuszczam, że kapłan - niósł na długim kijku krzyż, używając go jako laski, a nawet kuli. Dużo młodszy, tłusty i ociekający potem, cofał się przed nim, machając dymiącą kadzielnicą. Poprzedzali ich dwaj ubrani w długie szaty chłopcy niosący zapalone świece, a z tyłu szło więcej podobnie ubranych dzieci, które śpiewały, a gdy wydawało im się, że tłusty mężczyzna tego nie widzi, szczypały się nawzajem i rozdawały kuksańce.

Jak niemal wszyscy, widziałem dużo świetniejsze procesje w Rzymie, ale żadna z nich nie zrobiła na mnie takiego wrażenia, jak właśnie ta. Kiedy stary kapłan przyszedł na świat, wielkość Ameryki była jeszcze czymś tak niedawnym, że chyba nie wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, iż już na zawsze odeszła, zaś cała procesja - migoczące w promieniach słońca płomyki świec, niesione z wciąż martwe drewno, niepoważnie zachowujący się uczestnicy - wydawała mi się uosabiać filozofie i rozterki tych ludzi. Tak przynajmniej myślałem aż do chwili, kiedy zobaczyłem, że przechodnie przypatrują jej się z takim brakiem zrozumienia, jakby sami byli przybyłymi z daleka podróżnymi i rozumiałem, że to rytualne błaganie o powrót odrodzonego życia jest dla nich tak samo obce, jak dla mnie.

\*\*\*

Jest już bardzo późno - trzecia, według mojego zegarka.

Postanowiłem, że już nic więcej nie napisze. Spalę ten notatnik, podrę go na strzępy lub dam jakiemuś zebzakowi, ale znowu pisze, bo nie mogę zasnąć. Pokój śmierdzi moimi wymiocinami, chociaż otworzyłem na oścież okno, wpuszczając do środka noc.

Jak mogłem kochać coś takiego? A mimo to przed chwilą wizja Ellen wytrąciła mnie z płytkiej drzemki.

Przyjęcie okazało się balem maskowym. Ardis zdobyła dla mnie przebranie - *pożyczoną* z teatralnej garderoby, fantastycznie złożoną zbroję. Ona sama miała na sobie strój egipskiej księżniczki i maskę. O północy odsłoniliśmy twarze i pocałowaliśmy się, a ja przyrzekłem sobie, że jeszcze tej nocy zedrę z niej także zasłonę ciemności.

Wyszliśmy, zabierając ze sobą w połowie pełną butelkę. Zanim zgasła świeca namówiłem ją, żeby nalala pełen kieliszek, byśmy mogli się napić, kiedy minie pierwsze uniesienie. Zrobiła zrobiło? - tak, jak prosiłem i postawiła go na stojącej nie opodal łóżka szafce. Wiele minut później, kiedy leżeliśmy obok siebie oddychając ciężko ze zmęczenia, sięgnąłem po omacku po pistolet i wystrzeliłem w pękate naczynie. Kieliszek buchnął błękitnym płomieniem, a Ardis wrzasnęła przeraźliwie i zerwała się z łóżka.

\*\*\*

Zadaje sobie pytanie, jak mogłem ją kochać. A jak, w ciągu niecałego tygodnia, mogłem niemal pokochać ten martwy kraj? Symbolizujący go orzeł nie żyje, Ardis zaś stanowi symbol jego panowania.

Pozostaje mi jeszcze niewielka, bardzo niewielka nadzieja. Możliwe, że to, co zobaczyłem stanowiła tylko złudzenie wywołane działaniem znajdującego się w jajku narkotyku. Teraz wiem<sup>1</sup> stworzenie, które zabiłem przed domem ojca Ardis istniało naprawdę. Miedzy napisaniem poprzedniego akapitu a tym zjadłem ostatnie jajko. Jeżeli wystąpią halucynacje będę wiedział, że to, co ujrzałem w świetle płonącego araku było rzeczywiście istotą, z którą się kochałem, i wtedy znajdę jakiś sposób, żeby nigdy już nie zbrukać czystych brzuchów naszych kobiet. Mógłbym na przykład próbować zabrać a ó z muzeum eksponaty stanowiące dziedzictwo mojej rasy i dać się zabić strażnikom, ale co by się stało gdyby jakimś cudem mi się udało? Nie jestem godzien, żeby ich dotykać. Chyba najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdybym wyruszył samotnie w głąb tego stoczonego przez robactwo kontynentu. Przynajmniej zginąłbym z właściwych rąk.

\*\*\*

Później. Po korytarzu za drzwiami chodzi Kreton: stukot jego czarnych, wykoślawionych butów kołysze całym budynkiem niczym trzęsienie ziemi. Kilkakrotnie usłyszałem słowo „policja”, wypowie-

dziane głosem przypominającym uderzenie pioruna. Moja ukochana Ardis, maleńka i świecąca, wyłoniła się z płomienia świecy, a przez okno zagląda do pokoju porośnięta sierścią twarz.

\*\*\*

Stara kobieta zamknęła notatnik. Młodsza, która czytała zaglądną jej przez ramię, cofnęła się na drugą stronę stolika i usiadła na poduszce, zgodnie z dobrymi obyczajami trzymając stopy w taki sposób, żeby nie było widać podeszew.

- A więc żyje - powiedziała.

Stara kobieta milczała, pochyliwszy głowę nad trzymanym w obydwu dłoniach notatnikiem.

- Z całą pewnością został uwięziony, bo w innym przypadku dawno już by się z nami skontaktował. - Przerwała, gładząc prawą dłonią delikatny materiał swojej czadry, podczas gdy lewa bawiła się ozdobnym symulatorem, przymocowanym do cienkiego łańcuszka. - Możliwe, że nawet próbował, ale listy zaginęły gdzieś po drodze.

- Czy myślisz, że to jest jego pismo? - Stara kobieta otworzyła jeszcze raz notatnik. - Być może, być może... dodała, kiedy nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

**KONIEC**



